



Puzzle archeologiczne

POŻEGNANIE PROFESORA STANISŁAWA GŁĄBA



W dniu 8 lipca zmarł śp. prof. dr hab. Stanisław Głąb, wybitny chemik, specjalizujący się w elektrochemicznych i spektroskopowych metodach analitycznych, przez całą swoją karierę naukową związany z Uniwersytetem Warszawskim.

W latach 90. minionego stulecia był prodziekanem, a później dziekanem Wydziału Chemii UW i członkiem Senatu UW. Od 2005 roku pełnił funkcję prorektora ds. rozwoju i polityki finansowej. W tegorocznych wyborach został ponownie wybrany na to stanowisko.

„Zawsze łagodnie uśmiechnięty” – tak napisali o Nim członkowie redakcji „Polityki”, związani z konkursem „Zostańcie z nami”, w którego jury prorektor UW zasiadał. Tak i my Go na zawsze zapamiętamy – pogodnego, życzliwego, po ludzku dobrego.

Gdy w czerwcu trafił do szpitala, nikt z nas nie spodziewał się najgorszego. Drobną niemoc, słabość, która niekiedy na chwilę zatrzymuje dojrzałego człowieka, a później pozwala mu wrócić do normalnego życia i zwykłych obowiązków – tak to miało wyglądać. Na wiadomość, która nadeszła w lipcowy poranek nie byliśmy przygotowani. Bo jak przygotować się na wiadomość o śmierci bliskiego człowieka?

*Prof. dr. hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow,
rektor UW*

Wspomnienie o profesorze Stanisławie Głąbie

Mój pierwszy kontakt ze Stanisławem Głąbem datuje się na rok 1968, gdy zgłosił się On do wykonywania pracy magisterskiej w Zespole Chemii Analitycznej, efemerycznym tworze organizacyjnym, utworzonym po likwidacji Katedry Chemii Nieorganicznej. Tematyka Jego pracy magisterskiej dotyczyła zagadnień klasycznej chemii analitycznej, co również później zaważyło na tematyce rozprawy doktorskiej obronionej pod moim promotorstwem w 1976 roku, w Pracowni Teoretycznych Podstaw Chemii Analitycznej na Wydziale Chemii Uniwersytetu Warszawskiego. Te badania stworzyły solidny fundament wiedzy analitycznej, który umożliwił później rozwijanie nowych dziedzin współczesnej chemii analitycznej. Ważnym elementem rozwoju naukowego doktora Stanisława Głęba był roczny staż podoktorski w Sztokholmie w Royal Institute of Technology, w ośrodku o znakomitej renomie w zakresie chemii analitycznej. Zaowocował on szeregiem kontaktów i znajomości, które Stanisław Głąb podtrzymywał przez wiele lat, nie tylko na gruncie naukowym, ale i przyjacielskim.

W latach 1985–1997 Stanisław Głąb był członkiem Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej i aktywnie działał w Komisjach Wydziału Chemii Analitycznej. Brał czynny udział w wielu posiedzeniach i konferencjach, a Jego otwartość i chęć do współpracy umacniała nie tylko Jego pozycję jako naukowca, ale zjednywała Mu wielu przyjaciół. Dowodem uznania międzynarodowego był wybór Jego w okresie 1995–1997 na sekretarza tej komisji. Do kontaktów międzynarodowych przykładł dużą wagę, brał udział w wielu międzynarodowych konferencjach i sympozjach, prezentując wyniki swoich prac. Gdy w roku 2007 zakończyła się moja kadencja jako przedstawiciela Polski w Wydziale Chemii Analitycznej Federacji Europejskich Towarzystw Chemicznych, chętnie zgodził się na objęcie tej funkcji; niestety nie zdążył już rozwinąć szerzej tej działalności. Jedynie w lutym 2007 r., jako gospodarz, przyjmował na Uniwersytecie członków kierownictwa Wydziału Analitycznego, pokazując im historię i osiągnięcia naszej uczelni.

Wyniki swych prac badawczych profesor Głąb publikował w czołowych międzynarodowych i krajowych czasopismach chemicznych. Niezależnie od tego opracował szereg prac o charakterze przeglądowym, które wiązały się z rozwijaniem przez Niego tematykę czujników, a szczególnie biocujników chemicznych.

Ta tematyka zaowocowała zarówno opracowaniami teoretycznymi, jak i oryginalnymi nowymi konstrukcjami. Pragmatyczne podejście do uzyskiwanych wyników doprowadziło do praktycznych rozwiązań i nawiązania licznych kontaktów międzydyscyplinarnych. W dziedzinie tej powstało pięć prac doktorskich, których profesor Stanisław Głąb był promotorem.

Wspominając działalność profesora Stanisława Głęba należy podkreślić Jego nieustanne zaangażowanie w proces dydaktyczny. Choć miał wiele innych zajęć, zwłaszcza w Senacie i Rektoracie uczelni, uważał, że Jego pierwszym obowiązkiem jest przeprowadzenie wykładu i egzaminu z chemii analitycznej. W kontaktach ze studentami przejawiała się Jego życzliwość dla młodzieży i troska o jak najlepsze i najskuteczniejsze przekazanie swej wiedzy młodym adeptom chemii. W roku 1999, gdy przechodziłem na emeryturę i przekazywałem Mu kierownictwo pracowni, miałem całkowitą pewność, że mimo wielu obowiązków doskonale się z tego zadania wywiąże. Jako kierownik pracowni wnikliwie interesował się postępem wykonywanych w niej prac magisterskich i doktorskich. Zawsze pamiętał, aby uczestniczyć nie tylko w regularnych seminariach, ale również w zebraniu oplatkowym przed Świętami Bożego Narodzenia i w tradycyjnym „jajeczku” Wielkanocnym. Spotkania te gromadziły nie tylko studentów, doktorantów i pracowników z kierowanej przez Niego pracowni, ale również wielu zaprzyjaźnionych pracowników wydziału, którzy przychodzili, aby wysłuchać Jego serdecznych słów i życzeń skierowanych do wszystkich obecnych.

Wybór doktora habilitowanego Stanisława Głęba na prodziekana Wydziału Chemii na kadencję 1993–1996, pozwolił ujawnić w pełni Jego talenty organizacyjne. Zakresem Jego działalności były sprawy studenckie i związane z tym sprawy dydaktyki. Mimo zaangażowania w badania naukowe zawsze podkreślał, że w administrowaniu uczelnią nie można zapominać, że podstawowym zadaniem jest kształcenie stu-

dentów. W ówczesnej strukturze wydziału było wciąż wiele pozostałości struktury katedr, która nie pasowała do nowych rozwiązań organizacyjnych. Za Jego kadencji zostało uporządkowanych wiele spraw dotyczących kompetencji kierowników zakładów dydaktycznych, co umożliwiło im dysponowanie funduszami na cele związane z kształceniem. Wiązało się to również z racjonalnym rozłożeniem obciążeń nauczycieli akademickich. O tym, jak ważne były dla Niego sprawy kształcenia młodzieży świadczy wieloletnia współpraca z Okręgowym, a później z Głównym Komitetem Olimpiady Chemicznej, której od roku 1986 był sekretarzem naukowym.

Zmiany w funkcjonowaniu wydziału kontynuował profesor Stanisław Głąb, jako jego dziekan w latach 1996–2002. Tu w pełni okazał się być, w najlepszym tego słowa znaczeniu, prawdziwym gospodarzem. Modernizacja wydziału nie była celem samym w sobie, ale zmierzała do usprawnienia i ułatwienia pracy zarówno studentów, jak i nauczycieli akademickich. Wiązało się to również z remontem i unowocześnieniem sal wykładowych (na co nigdy przedtem nie było dość pieniędzy), a także lepszym wykorzystaniem wielu pomieszczeń. Na wydziale, a nawet w dyskusjach na posiedzeniach rad wydziału, nie zdawaliśmy sobie sprawy ile wysiłku, trudu i czasu wymagało od dziekana zdobycie funduszy na realizację tak wielu zamierzeń, które przeniosły gmach wydziału ze stanu powojennej odbudowy do nowoczesności końca XX wieku. Chyba największym osiągnięciem była zmiana systemu ogrzewania wydziału. Znikły hałdy koksu leżące przez znaczną część roku na dziedzińcu gmachu i kłopoty z zatrudnianiem palaczy. Przypominam sobie, z jaką satysfakcją pokazywał prof. Stanisław Głąb pracownikom i zaproszonym gościom nowoczesny system ogrzewania i likwidację wielu pomieszczeń w piwnicach, które mogły być przeznaczone na funkcje dydaktyczne, naukowe, a także rekreacyjne dla studentów. Inicjatywą dziekana Stanisława Głęba było również przystosowanie gmachu chemii do potrzeb niepełnosprawnych studentów i pracowników. Najważniejszym i może najkosztowniejszym osiągnięciem była budowa windy w północnej części gmachu i modernizacja starej windy w jego części południowej.

Działalność dziekana często spotyka się ze zróżnicowaną oceną rady wydziału. Przypominam sobie jednak posiedzenie poświęcone sprawozdaniu dziekana na koniec kadencji, na którym działalność profesora Stanisława Głęba spotkała się z niespotykaną dotychczas, pozytywną oceną członków rady wydziału. Wynikało to nie tylko z osiągnięć dziekana, ale też z posiadanej przez Niego umiejętności nawiązywania kontaktów osobistych. W trudnych dyskusjach zawsze wysłuchiwał argumentów przeciwników i dążył do osiągnięcia racjonalnego kompromisu. Jego zalety i umiejętności jako organizatora spowodowały, że społeczność uczelni powołała Go, w roku 2002 na przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Budżetu i Finansów oraz do Komisji ds. Rozwoju Kadr Naukowych i Dydaktycznych. Wybór na stanowisko prorektora uczelni stworzył Mu nowe możliwości działania, lecz również bardzo obciążył nowymi obowiązkami. Dowodem uznania dla Jego pracy na tym stanowisku był powtórny wybór w roku bieżącym.

Nieczęsto we współczesnym świecie spotykamy ludzi, którzy starają się swój czas i umiejętności poświęcać dla środowiska, w którym działają, dla społeczeństwa, w którym żyją. Takim człowiekiem był profesor Stanisław Głąb, który nie odmawiał nikomu, kto się do Niego zwracał z prośbą o pomoc i zawsze wkładał maksimum wysiłku, aby zadania, których się podejmował wykonywać jak najlepiej.

Adam Hulanicki

Żegnaj, Staszku!

Już prawie trzy miesiące upłynęły od dnia pogrzebu! 11 lipca na warszawskich Powązkach pożegnaliśmy Stanisława Głęba. Stawiliśmy się tam tłumnie – najpierw w kościele św. Anny, potem na cmentarzu „My”, czyli Uniwersytet Warszawski, który stracił swojego prorektora i którego społeczność tak licznie chciała odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku. Staszek był bowiem człowiekiem Uniwersytetu – w najgłębszym sensie, jaki nadać można temu pojęciu; był postacią



szeroko znaną i – jestem o tym przekonany – ważną dla wielu różnorodnych grup tworzących to środowisko.

Nie miejsce tu jednak na odtwarzanie smutnego, żałobnego nastroju, jaki był naszym udziałem tego bardzo słonecznego, lipcowego dnia, ani też na przypominanie pięknych i mądrych słów, jakie żegnając Zmarłego wypowiedziano w kościele. Poproszony przez redakcję pisma naszej uczelni, chciałbym napisać kilka zdań o człowieku, którego niespodziewana śmierć bardzo mnie zasmuciła i którą głęboko przeżyłem. Zanim jednak to uczynię, muszę zadać sobie pytanie, czy dysponuję dostateczną wiedzą, by wypowiadać się o Staszku w formie pośmiertnego wspomnienia?

Moje kompetencje są tu z pewnością bardzo ograniczone i mam tego pełną świadomość; Stanisława Głaba poznałem bowiem stosun-

kowo niedawno, w trakcie kadencji 2002-2005 (ten sposób odmierzenia czasu dość często bywa używany w Pałacu Kazimierzowskim i jego okolicach). Staszek pełnił wtedy funkcję przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Budżetu i Finansów, ale nasze ówczesne spotkania były dość rzadkie, a rozmowy na ogół krótkie i zdawkowe, głównie z tego powodu, że sfera mojej ówczesnej aktywności nie była bezpośrednio związana ze strategią uniwersyteckich finansów. Tak naprawdę poznaliśmy się dopiero jako prorektorzy w zespole Katarzyny Chałasińskiej-Macukow; to była jego pierwsza, a moja już druga kadencja.

Nie będzie to więc ani portret o charakterze biograficznym, ani nawet szkic do takiego portretu, a jedynie garść impresji. Moje wspomnienie będzie bardzo osobiste i zarazem selektywne; pominąć w nim przyjdzie wiele ważnych wątków. Staszek był przecież che-

mikiem, uczonym, profesorem Uniwersytetu; w tym zakresie brak mi jednak podstaw do wypowiadania się, a tym bardziej do oceniań jego kwalifikacji, czy też dokonań zawodowych. Miałbym nawet trudności z bliższym określeniem jego dyscypliny badawczej; wiem tylko, że była to chemia analityczna. Podobne ograniczenia odnoszą się do sfery dydaktyki, którą Staszek przez lata uprawiał, oraz sukcesów i dokonań, jakie miał na tym polu. Nie było mi też dane bliższe poznanie Jego Rodziny, choć wiem, jak ważni byli dla niego: żona – Krystyna, syn – Adam oraz jego żona, no i oczywiście Helenka – wnuczka, której zdjęcie na stałe ozdabiało ekran staszkowego komputera.

Jaki więc był Stanisław Głąb, a dokładniej – jakim zapisał się i na długo pozostanie w mojej pamięci? Przede wszystkim był człowiekiem mądrym i dobrym; cechowała go bowiem mądrość kogoś, kto odruchowo, ale konsekwentnie, akumuluje doświadczenia, a następnie potrafi je skutecznie wykorzystać, oraz dobroć człowieka prawego, który z troską, ale także z osobistym zaangażowaniem odnosi się do spraw innych ludzi. Był więc wrażliwy, otwarty, słuchający, a także – co wcale nie takie częste – zapamiętujący to wszystko, o czym była mowa. Był bardzo skromny i bardzo pracowity. Konsekwentnie bronił swoich racji, ale potrafił też zmienić zdanie – po wysłuchaniu i przemyśleniu argumentów oponenta. Był wspaniałym kompanem, osobą towarzyską, uśmiechniętą, chętnie żartującą.

Jednak w mojej optyce – ze względu na wspomniane już okoliczności – był przede wszystkim człowiekiem Uniwersytetu; to na tym forum doszło do naszego spotkania, a potem – pozwól sobie użyć tego słowa – zaprzyjaźnienia.

Stanowisko prorektora nie sprzyja wyciszeniu, ani refleksji; jest zdominowane przez rytm spotkań, rozmów, bieżących problemów, które przychodzi rozwiązywać, decyzji, z których podjęciem nie można zwlekać. Kalendarz bywa wypełniony po brzegi, program dnia – gorący i bardzo intensywny. A jednak szukaliśmy okazji do prywatnych rozmów – podczas obiadu, na który od pewnego czasu wybieraliśmy się razem do pobliskiej „Skrzynki”, a także podczas wspólnych powrotów „na prawy brzeg rzeki”. Staszek – jak wiadomo – mieszkał w Wesołej; odwiezienie mnie na Saską Kępę prawie nie wymagało więc zboczenia z trasy i posiadacz białej, nie najmłodszej już Toyoty tę uprzejmość często mi oferował, a ja tego rodzaju propozycje przyjmowałem bardzo chętnie i wcale nie tylko dla wygody (żartowaliśmy, że nie tylko Pani Rektor ma swojego kierowcę ...). Zdarzały się nam też sympatyczne późne popołudnia, kiedy sekretariaty pustoszały, zaś jeden z nas podejmował się zrobienia herbaty...

W rozmowach, które przy takich okazjach prowadziliśmy – bardzo różne tematy poruszając – dominowały rzecz jasna wątki uniwersyteckie. Czy decyzje decentralizacyjne nie poszły za daleko? Czy nie należałoby stworzyć lepszych warunków dla integracji w określonych obszarach uniwersyteckiej aktywności, choćby w sferze dydaktyki? Czy istnieją sposoby i możliwości obiektywnego oceniania jakości poszczególnych wydziałów, a także porównywania ich między sobą? Czy i jak można stymulować rozwój badań naukowych oraz określać ich tematyczne preferencje w skali całego uniwersytetu? Czy proces boloński nie zagraża akademickości, a jeśli tak, to jak można by temu przeciwdziałać? Czy uda się w dłuższym okresie pogodzić masowość studiów z ich wysoką jakością?

Podczas tych rozmów Staszek był oczywiście prorektorem, odpowiedzialnym bezpośrednio za najważniejszą, bo finansową stronę uniwersyteckiej aktywności, ale był też – co bardzo ważne – byłym dziekanem Wydziału Chemii. Przy okazji trochę się więc dowiedziałem o tym wydziale, wcześniej zupełnie mi nieznanym: że – w przeciwieństwie do mojego macierzystego Wydziału Historycznego – jest strukturą dydaktyczną i organizacyjną jednolitą, że dzięki temu jest nim stosunkowo łatwo zarządzać, że od dawna działa tam precyzyjnie przemyślany system oceny pracowników oraz ich naukowych dokonań, który to system niewiele miejsca pozostawia na subiektywizm... Padały też nazwiska, dla Staszka – jak sądzę – w zawodowym środowisku najważniejsze: Adam Hulanicki, Zbigniew Galus, Lucjan Piel; ten ostatni wymieniany bodaj najczęściej – właśnie jako Staszka poprzednik na stanowisku dziekana. Dowiadywałem się więc, jak to „Lucjan”

wprowadzał na wydziale trudne reformy, ale także – co by w danej sytuacji zrobił oraz, jaki komentarz by sformułował.

Staszek został wybrany prorektorem na następną kadencję. Może mu nawet trochę zazdrościłem tej klarownej, czteroletniej perspektywy ... Podstępna, trudna do zdiagnozowania choroba, okazała się przeszkodą nie do pokonania ...

Życie nie znosi próżni. Za chwilę nasz Uniwersytet zacznie budzić się z wakacyjnej drzemki. Kolegium Elektorów wybierze nowego prorektora. A jednak pamięć o ważnym dla nas człowieku, którego nagle zabrakło, pamięć serdeczna, z mieszaniną nostalgicznej zadumy, jeszcze długo – jestem o tym przekonany – będzie nam towarzyszyć.

Stanisław Głąb żył 63 lata; dokładnie tyle, ile – cztery stulecia wcześniej – żył Jan Zamoyski, kanclerz i hetman wielki koronny, założyciel Zamościa i Tomaszowa, notabene najważniejszy bohater mojej pracy doktorskiej sprzed lat; była to – wiem, bo o tym też rozmawialiśmy – postać historyczna szczególnie bliska Staszce, który właśnie z Zamojszczyzny się wywodził i do urody tamtych terenów chętnie nawiązywał. Jednak historyczne, szesnastowieczne normy odnoszące się do długości życia ludzkiego znacznie odbiegały od naszych dzisiejszych w tym względzie oczekiwań. Twórca sławnej Ordynacji Zamojskich zmarł jako człowiek sędziwy, a w każdym razie tak to wtedy postrzegano; Staszek – co jest naszym powszechnym odczuciem – odszedł zdecydowanie przedwcześnie. Wielki Kanclerz wszedł na trwałe do narodowego panteonu. Staszek – to też przecież немало – pozostawił swój dorobek uczonego, nauczyciela i organizatora, a przede wszystkim wielu ludzi głęboko zasmuconych jego odejściem oraz bardzo dobre o sobie wspomnienia.

Czy można się zaprzyjaźnić po pięćdziesiątce? Choć wielu w to powątpiewa, w moim przypadku okazało się to możliwe. Tę krzepiącą i bardzo optymistyczną konstatację zawdzięczam mojemu Koledze/Przyjacielowi, z którym przez ostatnie lata mogłem blisko współpracować, z którego mądrości, dobroci i serdeczności obficie korzystałem, a teraz chciałbym mu za to po prostu podziękować. Żegnaj, Staszku!

Wojciech Tygielski

Do zobaczenia, Panie Rektorze!

Minęły dwa miesiące odkąd dotarła do nas wstrząsająca wiadomość o nagłej śmierci prof. dr. hab. Stanisława Głęba, prorektora UW. Trudno jest się pogodzić z faktem odejścia profesora, choć doskonale wiemy, że wszystko ma swój początek i koniec. Tylko dlaczego ten ostatni pojawia się tak niespodziewanie?

Rektora Stanisława Głęba poznałem już na samym początku pracy na Uniwersytecie, kiedy to jako audytor wewnętrzny, uczestniczyłem w posiedzeniach senackiej komisji budżetowej. Później, gdy objąłem stanowisko zastępcy kanclerza ds. ekonomicznych, nasza współpraca stała się bardziej intensywna. Rektor Stanisław Głąb był entuzjastą pracy i działania, miał – jak się wydawało – niespożyty energię, podejmował różne inicjatywy, które miały na celu jedno – dalszy rozwój i poprawę funkcjonowania Uniwersytetu Warszawskiego. Ten sam entuzjazm towarzyszył rektorowi w pracy dydaktycznej ze studentami, dla których zawsze miał czas, którym zawsze służył pomocą. Ale rektor Stanisław Głąb nie tylko w relacjach służbowych był osobą, od której można było się wiele nauczyć. Prywatnie był to bardzo ciepły i życzliwy człowiek, który troszczył się o swoich współpracowników, a gdy mieli problemy – pomagał im je rozwiązywać.

Szkoda Panie Rektorze, że już nie będziemy mogli po południu porozmawiać, zastanowić się co należy jeszcze zrobić, jak podzielić dotacje by wszyscy byli zadowoleni. Żałuję, że nie zapyta Pan z uśmiechem co tam u nas w Wesołej słychać? Tak naprawdę, Panie Rektorze, to herbata malinowa już nigdy nie będzie tak smakowita. Niech Pan spoczywa w pokoju i pomaga Najwyższemu w prowadzeniu jego niebiańskiego Uniwersytetu, bo widocznie bardzo potrzebował Pańskiej pomocy i rady, skoro Pana stąd tak nagle zabrał. Do zobaczenia, Panie Rektorze!

Artur Chelstowski

- Wspomnienia o prof. Stanisławie Głąbie 1

Z życia uczelni

- Kronika wydarzeń 6
- Kadry 11

Rozmowa UW

- Naukowa wspinaczka
O spodziewanych odkryciach LHC z prof. Stefanem Pokorskim
rozmawia Katarzyna Zagrajek-Lukaszewska 12



12

Wydarzenia

- Podwójne uhonorowanie Mistrza
prof. Jan Baszkiewicz doktorem honoris causa UJ i UMS 15
- Prof. Henryk Woźniakowski doktorem honorowym Uniwersytetu w Jenie 16
- O znaczeniu jednostki - tytuł doktora honoris causa dla dr. Eckarta Hiena 17



18

Badania

- W wysokich Andach i na pustynnym wybrzeżu Oceanu 18
- Polscy archeolodzy w ruinach zoroastryjskiej świątyni ognia 22
- Miasto Afrodyty 24
- Czy jadłeś już dzisiaj DNA? 26



24

Prezentacje

- Na ratunek rajskim wyspom 28
- Przez fizykę do piękna 29

Studencki głos

- Wielki Tydzień na ziemi czarnej gliny 30
- Sztuka podróżowania 32
- Tajemnice Bąkowej Góry 34

Z dziejów UW

- Poczet rektorów UW 35



30

Kronika wydarzeń



Posiedzenie KRASP, fot. Biuro Promocji UW

Nowe władze UW

1 września prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow rozpoczęła kolejną kadencję na stanowisku rektora UW.

Na liście prorektorów uczelni pojawiły się same nowe nazwiska. Funkcję prorektora ds. studenckich pełni prof. Marta Kicińska-Habior. Nowa prorektor specjalizuje się w eksperymentalnej fizyce jądrowej. Przez 8 lat pełniła funkcję prodziekana ds. studenckich Wydziału Fizyki, a od 2005 r. przewodniczyła Senackiej Komisji ds. Studenckich i Procesu Kształcenia.

Pieczę nad badaniami naukowymi i współpracą z zagranicą sprawuje prof. Włodzimierz Lengauer, znawca historii oraz kultury starożytnej Grecji, dziekan Wydziału Historycznego do końca sierpnia tego roku.

Prorektorem ds. nauczania i polityki kadrowej został prof. Tadeusz Tomaszewski, pełniący dotychczas funkcję dziekana Wydziału Prawa i Administracji. Jego zainteresowania badawcze to przede wszystkim kryminalistyka, procedura karna, prawo dowodowe oraz wykrywanie i ściganie przestępstw.

Nazwisko nowego prorektora ds. rozwoju i polityki finansowej poznamy w połowie października, kiedy to odbędą się wybory uzupełniające do władz uczelni.

Posiedzenie Prezydium KRASP

– Wiemy wszyscy, że reforma nauki jest bardzo potrzebna – powiedziała prof. Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyż-

szego, podczas posiedzenia Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP), które odbyło się 12 września na Uniwersytecie Warszawskim. – Jestem przekonana, że razem wprowadzimy nową, oczekiwaną przez środowisko naukowe jakość – dodała. Posiedzenie Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich było pierwszym spotkaniem, któremu przewodniczyła prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, przewodnicząca KRASP w kadencji 2008-2012.

Minister nauki i szkolnictwa wyższego przypominała o trwających pracach nad przygotowaniem pakietu ustaw, który ma zreformować polską naukę. Są to m.in.: ustawy o Narodowym Centrum Nauki oraz o Narodowym Centrum Badań Rozwoju, nowelizacja ustawy o Polskiej Akademii Nauk, ustawa o Instytutach Badawczych (w miejsce ustawy o Jednostkach Badawczo-Rozwojowych) oraz nowelizacja ustawy o zasadach finansowania nauki.

W dyskusji rektorzy zwracali uwagę przede wszystkim na wciąż niewystarczający wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe i wynikające z tego problemy, m.in. wieloletowość, czy ucieczkę z kraju młodych naukowców.

Prof. Kudrycka zapewniła, że zamierzeniem rządu jest, aby do 2013 r. wydatki na naukę i szkolnictwo wyższe wyniosły 2 proc. PKB.

W trakcie obrad rektorzy podjęli dwie uchwały Prezydium KRASP w sprawach: konieczności przyspieszenia prac nad strate-

gią rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce oraz priorytetowych obszarów działalności KRASP w kadencji 2008-2012. W kontekście poruszanych problemów rektorzy, członkowie Konferencji jednogłośnie podkreślili nagłą potrzebę opracowania strategii rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce, która powinna uwzględniać procesy zachodzące w europejskim i światowym szkolnictwie wyższym, i stanowić podstawę do przygotowania i skutecznego wdrożenia głębokich zmian legislacyjnych.

Umowa z Akademią Muzyczną

1 lipca br. rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow oraz rektor Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, prof. Stanisław Moryto podpisali porozumienie o współpracy pomiędzy obiema uczelniami.

Umowa zakłada podejmowanie wspólnych działań naukowych i edukacyjnych, pomoc przy organizacji sympozjów oraz konkursów dotyczących promocji miasta, regionu i kraju, a także sprzyjanie kontaktom pomiędzy studentami UW i AMFC. Uczelnie mają nadzieję, że efektem współpracy będą projekty naukowe, wspólne działania artystyczne, wydawnicze oraz społeczne.

W styczniu tego roku uniwersytet podpisał podobną umowę z Akademią Sztuk Pięknych. Jak przewiduje rektor UW oba porozumienia mogą mieć bardzo pozytywne skutki nie tylko dla szkół wyższych, ale i dla całego miasta. – Chcemy zacieśniać współpracę z innymi uczelniami. Mamy nadzieję, że dzięki temu Warszawa stanie się pełnoprawnym miastem akademickim – podkreśliła prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow.

Rektor Akademii Muzycznej przypomniał o niemal dwustuletnich związkach obu uczelni. – W pewnym sensie ta umowa jest powrotem do korzeni – powiedział.

Porozumienie z Akademią Obrony Narodowej

Uniwersytet Warszawski oraz Akademia Obrony Narodowej podpisały 2 lipca br. porozumienie o współpracy naukowo-dydaktycznej w zakresie studiów związanych z tematyką bezpieczeństwa.

Realizacją warunków umowy zajmować się będą Instytut Nauk Politycznych UW, prowadzący studia na kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne oraz Instytut Bezpieczeństwa Narodowego AON, oferujący studia na kierunku bezpieczeństwo narodowe.

Porozumienie zakłada, że instytuty będą prowadzić wspólne badania naukowe oraz działalność wydawniczą. Będą współpracować w zakresie metodyki nauczania oraz dydaktyki. Stworzą plany szkoleniowe, program kształcenia menadżerów bezpieczeństwa oraz narzędzia służące badaniu kompetencji absolwentów. Przewidywana jest także

organizacja wspólnych spotkań, narad i konferencji, wymiana materiałów dydaktycznych oraz wizyty robocze w celu poznania metod dydaktycznych drugiej strony.

W uroczystym podpisaniu umowy brali udział rektorzy obu uczelni: prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow oraz gen. bryg. Janusz Kręcikij, przedstawiciele INP UW: dyrektor instytutu prof. Stanisław Sulowski, wicedyrektor instytutu dr Ewa Marciniak oraz dr Tomasz Słomka, a także komendant IBN AON płk Zbigniew Piątek.

Co kryją ukraińskie archiwa

Podczas niedawnej podróży do Lwowa rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow podpisała w imieniu uczelni dwie umowy o współpracy z tamtejszymi instytucjami naukowymi. Pierwsze porozumienie – z Lwowską Biblioteką Naukową im. W. Stefanyka Ukraińskiej Narodowej Akademii Nauk, określa warunki realizacji programu „Wspólne dziedzictwo kulturalne narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Źródła, kolekcje, zbiory i idee – XVI-XX w”. Ze strony UW program koordynować będzie Instytut Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”. Zajmie się on m.in. organizacją corocznych sesji biblioteczno-naukowych oraz przeprowadzeniem kwerend archiwalnych i faktograficznych w zbiorach ukraińskich dotyczących okresu staropolskiego.

Drugą umowę Uniwersytet zawarł z Instytutem Ukrainoznawstwa Narodowej Akademii Nauk we Lwowie oraz Lwowskim Uniwersytetem Narodowym im. I. Franko. Porozumienie zakłada wykonanie kwerend źródłowej w polskich i ukraińskich archiwach oraz muzeach, a następnie przygotowanie monografii poświęconej wybitnemu polskiemu politykowi – Leonowi Kozłowskiemu.

Nasi fizycy członkami ApPEC

Polskie środowisko fizyków, zajmujące się oddziaływaniami elementarnymi, astrofizyką cząstek i kosmologią, od dwóch lat starało się o przyjęcie do Astroparticle European Coordination (ApPEC), europejskiej struktury koordynującej badania prowadzone w tej dziedzinie. Inicjatorem tych starań był Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Na ostatnim posiedzeniu komitetu sterującego ApPEC, które odbyło się 20 czerwca w CERN-ie, polscy fizycy zostali formalnie przyjęci do organizacji. Włączenie w struktury ApPEC jest nie tylko ukoronowaniem ich wysiłków, ale także wyrazem uznania dla badań prowadzonych w tej dziedzinie w Polsce. Oznacza ono również większy wpływ na niezwykle szybko rozwijającą się – w skali europejskiej i światowej – dziedzinę. Członkostwo w ApPEC ma szczególne znaczenie w dobie LHC, gdyż oddziaływania elementarne, kosmologia

i astrofizyka stanowią w tej chwili nierozdzielalny, wspólny obszar badań.

Ogromna popularność kursów dla dorosłych

Popularność Uniwersytetu Otwartego Uniwersytetu Warszawskiego zaskoczyła samych jego pomysłodawców. Zapisy na kursy ruszyły 4 sierpnia. W ciągu miesiąca zgłosiło się na nie niemal tysiąc osób.

Słuchaczem UO może zostać każdy, kto ukończył osiemnaście lat. Nie ma egzaminów wstępnych, ani konkursu świadectw maturalnych. Wystarczą dobre chęci. Wśród słuchaczy są osoby młodsze i starsze, uczniowie, studenci, osoby aktywne zawodowo i te, które są na emeryturze. W większości grup obok dwudziestoparolatka usiadł w ławie jego starszy – o dziesięć, dwadzieścia, a czasem i czterdzieści lat – kolega.

W ofercie Uniwersytetu Otwartego znalazło się ponad osiemdziesiąt, pogrupowanych tematycznie, kursów. Ich różnorodność jest tak duża, że każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Bloki, w które połączono kursy to: kultura i sztuka, człowiek i społeczeństwo, język i narody, nauka i technika, człowiek i środowisko oraz biznes, gospodarka i prawo. To właśnie na zajęcia należące do tej ostatniej grupy rejestracja zakończyła się najszybciej. Na kursy „język i prawo”, „jak inwestować, żeby nie stracić” oraz „analiza finansowa i statystyczna w Excelu” chętnych było tak wielu, że powstały długie listy rezerwowych. Wielką popularnością cieszyły się też niebanalne kursy językowe („eurożargon, czyli kurs angielskiego dla administracji”, „rosyjski savoir-vivre”, „różnorodność świata hiszpańskiego”).

Każdy słuchacz Uniwersytetu Otwartego może skorzystać z dowolnej liczby kursów. Na zakończenie zajęć otrzyma świadectwo uczestnictwa w kursie lub dodatkowo, po zdaniu egzaminu końcowego, również certyfikat potwierdzający znajomość poruszanej tematyki.

Pierwsze kursy rozpoczęły się w ostatnich dniach września i potrwają do końca roku. Rejestracja na kolejny trymestr rozpocznie się już na przełomie listopada i grudnia.

Pełne informacje na temat działalności Uniwersytetu Otwartego można znaleźć na stronie: <http://www.uo.uw.edu.pl/>

Matematyka zamawiana

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego ogłosiło przed wakacjami konkurs na tzw. kształcenie zamawiane na kierunkach technicznych, matematycznych i przyrodniczych. Celem projektu jest zwiększenie liczby absolwentów kierunków o kluczowym według resortu znaczeniu dla polskiej gospodarki. W konkursie mogły wziąć udział wszystkie publiczne oraz niepubliczne uczelnie wyższe, oferujące kształcenie w zakresie inżynierii biomedycznej, mechatroniki,

budownictwa, inżynierii środowiska, energetyki, elektrotechniki, mechaniki i budowy maszyn, automatyki i robotyki, matematyki oraz biotechnologii. Środki na sfinansowanie projektu pochodzą z unijnego programu operacyjnego „Kapitał ludzki”.

21 sierpnia ministerstwo ogłosiło wyniki konkursu, w którym pod uwagę brano m.in. dotychczasowy dorobek naukowy jednostek dydaktycznych oraz możliwości ich dalszego rozwoju. Na liście uczelni, które od nowego roku akademickiego będą otrzymywać od resortu dofinansowanie, znalazł się Uniwersytet Warszawski. Dzięki wygranej w konkursie, Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW może od października zaoferować studentom I roku matematyki (specjalność matematyka stosowana) 30 stypendiów naukowych po 1000 zł miesięcznie. Dofinansowanie umożliwiło wydziałowi zwiększenie liczby wolnych miejsc i ogłoszenie dodatkowej tury rekrutacji na studia stacjonarne.

Dodatkowe środki nie zostaną wykorzystane jedynie na stypendia dla studentów. Wydział zamierza przy ich pomocy utworzyć repozytorium materiałów dydaktycznych oraz rozbudować swoją bazę laboratoryjną. Fundusze ułatwią starania na rzecz umiędzynarodowienia kształcenia. Na dofinansowanie liczyć mogą także studenckie koła naukowe.

Tegoroczna edycja konkursu była pilotażowa. W kolejnej edycji do konkursu zamierza przystąpić również Wydział Biologii UW z kierunkiem studiów biotechnologia.

Nagroda miasta Münster dla prof. Samsonowicza

Profesor Henryk Samsonowicz został tegorocznym laureatem prestiżowej nagrody historycznej miasta Münster. W uzasadnieniu jury określiło profesora mianem europejskiego intelektualisty i wybitnego przedstawiciela polskich nauk humanistycznych. Odnosząc się do jego dorobku naukowego podkreślono, że profesor Samsonowicz ujmował i przedstawiał zawsze historię Polski ze szczególnym uwzględnieniem jej europejskiego wymiaru i powiązań.

Prof. Samsonowicz, wybitny mediewista, od początku kariery naukowej związany jest z Uniwersytetem Warszawskim, który ukończył w 1950 roku. Był prodziekanem a następnie dziekanem Wydziału Historycznego. W latach 1980-1981 pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Warszawskiego. Profesor jest członkiem Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności oraz Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Nagroda historyczna miasta Münster przyznawana jest co 5 lat. Prof. Samsonowicz jest jej 7. laureatem, 3. spoza Niemiec. Wśród uhonorowanych nią są m.in. prof. Gordon A. Craig oraz prof. Jacques Le Goff.

Uroczystość wręczenia nagrody prof. Samsonowiczowi odbędzie się w Münster na początku 2009 roku.

Stypendia zagraniczne FNP przyznane

16 lipca br. rozstrzygnięta została 19. edycja programu KOLUMB organizowanego przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Wśród laureatów znalazły się dwie badaczki z UW: dr Anna Ajduk oraz dr Anna Brożek. Obie panie otrzymają dofinansowanie umożliwiające im odbycie staży w renomowanych zagranicznych ośrodkach akademickich. Dr Ajduk z Wydziału Biologii spędzi rok na Uniwersytecie w Cambridge, a dr Brożek z Instytutu Filozofii pojedzie na roczny staż na Uniwersytet w Salzburgu. Dr Ajduk jest specjalistką w zakresie biologii rozwoju, a swoją rozprawę doktorską „Dojrzwienie cytoplazmatyczne oocyty myszy - rozwój mechanizmu odpowiedzialnego za aktywację w czasie zapłodnienia” obroniła w listopadzie 2007 r. Dr Brożek jest związana z Instytutem Filozofii, gdzie w maju 2006 r. uzyskała stopień doktora za rozprawę „Logiczna analiza terminologii muzycznej”.

Stypendia zagraniczne w ramach programu KOLUMB przyznawane są młodym polskim uczonym, którzy posiadają stopień doktora. Celem programu jest umożliwienie naukowcom pobytu w najlepszych ośrodkach naukowych świata i odbycie tam długo-terminowych staży.

Dr hab. Wojciech Grochala beneficjentem programu TEAM

Dr hab. Wojciech Grochala z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW znalazł się wśród beneficjentów pierwszej edycji programu TEAM organizowanego przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Konkurs – zorganizowany w ramach unijnego programu „Innowacyjna gospodarka” – ma na celu zwiększenie zaangażowania młodych uczonych w prace badawcze realizowane w najlepszych zespołach badawczych w Polsce.

Naukowcy starający się o dofinansowanie musieli przedstawić projekt mieszczący się w jednym z trzech obszarów konkursowych: Bio, Info, Techno. Do programu zgłoszono 45 wniosków. Po ich szczegółowej ocenie merytorycznej do drugiego etapu konkursu – rozmowy kwalifikacyjnej – zaproszono autorów siedemnastu projektów. Ostatecznie dofinansowanie w programie TEAM uzyskało siedem programów badawczych.

Dr hab. Wojciech Grochala kieruje Laboratorium Technologii Nowych Materiałów Funkcjonalnych. Pod jego kierunkiem prowadzone są badania nad wysokowydajnym bakiem na wodór oraz nadprzewodnikiem przewodzącym prąd elektryczny w temperaturze pokojowej, czyli takim który nie będzie się nagrzewał i wytracał w ten sposób przewodzonej energii. Projekt pt. „Quest for superconductivity in crystal-engineered higher fluorides of silver”, który będzie realizowany przez zespół kierowany przez dr. hab. Gro-

chałę, uzyskał dofinansowanie w wysokości ponad 1,5 mln zł. Badania będą prowadzone przez zespół, w skład którego wejdą studenci, doktoranci oraz młodzi pracownicy ze stopniem doktora.

Więcej informacji na temat badań prowadzonych przez dr. hab. Wojciecha Grochałę znaleźć można w artykule Justyny Jasiewicz-Hall „Dwie szanse na sto” („Uniwersytet Warszawski”, nr 3 (33), październik 2007).

Stypendia konferencyjne

Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej przyznała po raz trzeci w tym roku stypendia konferencyjne, dzięki którym młodzi polscy naukowcy mogą sfinansować swój udział w międzynarodowych kongresach, konferencjach i sympozjach. Do udziału w konkursie zgłosiło się 79 badaczy. 26 kandydatów otrzymało stypendia, w tym 5 osób z Uniwersytetu Warszawskiego. Dofinansowanie w III edycji programu stypendialnego otrzymały: Amanda Krzyworzeka (Wydział Historyczny), Agnieszka Pluta (Wydział Psychologii), Jolanta Rajewska (Wydział Polonistyki), dr Agnieszka Szarkowska (Wydział Lingwistyki Stosowanej i Filologii Wschodniosłowiańskich) oraz Magdalena Wróblewska (Wydział Historyczny).

„Złote Skrzydła 2008” dla dr Dominiki Wajdy

Gazeta Prawna wręczyła „Złote Skrzydła 2008” najlepszym, młodym autorom książek fachowych. W drugiej edycji konkursu nagrody zostały przyznane w czterech kategoriach: praca, podatki, prawo gospodarcze oraz zarządzanie. O „Złote Skrzydła” mogli się ubiegać autorzy publikacji z 2007 roku, którzy nie ukończyli 35 lat. Najważniejszym kryterium merytorycznym było naukowe podejście do analizowanego tematu.

Jak przyznali członkowie jury ze względu na niezwykle wysoki poziom prac, najtrudniejszą decyzją był wybór najlepszej książki z zakresu prawa gospodarczego. Ostatecznie w tej kategorii zwyciężyła publikacja dr Dominiki Wajdy, adiunkta w Katedrze Prawa Handlowego Instytutu Prawa Cywilnego WPIA UW, pt.: „Ochrona akcjonariuszy mniejszościowych w kodeksie spółek handlowych”. – Jest to książka, która najlepiej odpowiada profilowi naszej gazety. Potrzebna będzie zarówno udziałowcom mniejszościowym, jak i wielkim inwestorom giełdowym, prawnikom, ale także ekonomistom. Autorka powołuje się na literaturę polską i europejską, odnosi się do norm unijnych i rozwiązań przyjętych przez Trybunał Europejski. Te atuty bardzo liczą się w punktacji jury – napisano w uzasadnieniu.

Absolwenci UW autorami najlepszych prac magisterskich

W ostatnim czasie absolwenci UW okazali się autorami najlepszych prac magisterskich

w aż trzech dziedzinach: stosunków międzynarodowych, rachunkowości oraz chemii kwantowej.

24 czerwca minister spraw zagranicznych RP Radosław Sikorski wręczył nagrody za najlepsze prace magisterskie z zakresu współczesnych stosunków międzynarodowych. Wśród laureatów znalazło się troje ubiegłorocznych absolwentów Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Trzecią nagrodę otrzymał Błażej Wyka za pracę „Dwa potencjalne mocarstwa globalne: Chiny i Indie (współpraca, rywalizacja, perspektywy)”, napisaną pod kierunkiem prof. Jana Rowińskiego. Marcin Terlikowski, autor pracy „Nielegalni uczestnicy stosunków międzynarodowych i techniki informatyczne a bezpieczeństwo narodowe państw” oraz Barbara Zalewska, autorka pracy „Obszary zgodności i konfliktu w stosunkach polsko-niemieckich po 1989 roku” odebrali od ministra Sikorskiego wyróżnienia.

Anna Szubierajska, absolwentka Wydziału Zarządzania UW zwyciężyła w konkursie o nagrodę im. Jerzego Sablika. W konkursie, zorganizowanym przez Stowarzyszenie Księgowych w Polsce, mogli wziąć udział autorzy prac magisterskich z dziedziny rachunkowości. Zwycięska praca pt. „Zawód głównego księgowego – wieloaspektowe podejście” została przygotowana pod kierunkiem dr Beaty Pułaskiej-Turyny.

Dominik Kurzydłowski, absolwent Wydziału Chemii UW, został zdobywcą tegorocznej nagrody im. prof. Jacka Rychlewskiego za najlepszą pracę magisterską z dziedziny chemii kwantowej. Praca „Obliczenia metodami DFT przemian fazowych i analiza możliwości wysokociśnieniowej syntezy, w fazie stałej, monofluorku złota (AuF) oraz jego adduktu z ksenonem (XeAuF)” została przygotowana pod kierunkiem dr. hab. Wojciecha Grochali. Nagroda przyznawana jest przez Polskie Towarzystwo Chemiczne. Przypomnijmy, że laureatem ubiegłorocznej edycji konkursu został również absolwent UW, Tomasz Jaroń, obecnie doktorant na Wydziale Chemii UW. Obydwaj laureaci nagrody pracują w zespole Laboratorium Technologii Nowych Materiałów Funkcjonalnych w ICM pod kierunkiem dr. hab. Wojciecha Grochali. Jest to zatem już drugie z rzędu prestiżowe wyróżnienie przyznane doktorantom pracującym w jednym zespole badawczym.

Student WPIA UW zwycięzca konkursu ITelect

W rozstrzygniętej 9 czerwca br. II edycji konkursu z zakresu prawa telekomunikacyjnego, prawa własności intelektualnej oraz prawa nowych technologii ITelect, zwyciężył Maciej Kacymirow, student Wydziału Prawa i Administracji UW. Konkurs został zorganizowany przez Europejskie Stowarzyszenie Studentów Prawa ELSA w Polsce oraz kancelarię Grynhoof - Woźny - Maliński. Konkurs



Laureaci nagród ministra spraw zagranicznych, fot. L. Wawryniakiewicz (MSZ)

ma na celu propagowanie wiedzy merytorycznej z zakresu prawa telekomunikacyjnego, prawa własności intelektualnej oraz prawa nowych technologii. Organizatorom zależy również na wspieraniu szczególnie uzdolnionych studentów ostatnich lat prawa. Uczestnicy konkursu mają za zadanie przygotować rozwiązanie jednego z czterech złożonych kasusów prawnych. Jury konkursowe ocenia nadesłane prace przede wszystkim z punktu widzenia wymagającego klienta, który ma konkretny problem i oczekuje od prawnika rozwiązania, popartego logicznymi argumentami. Pod uwagę brany jest też zasób wiedzy merytorycznej uczestników konkursu oraz umiejętność logicznego myślenia i posługiwania się słowem pisanym.

Zwycięzca konkursu wykazał się umiejętnością zastosowania wiedzy teoretycznej w praktyce oraz zrozumieniem problemów charakterystycznych dla sektora biznesowego. W nagrodę otrzymał on roczne stypendium naukowe oraz możliwość odbycia stażu w kancelarii organizującej konkurs.

WPiA UW ponownie najlepszy

Gazeta Prawna ogłosiła wyniki II edycji rankingu wydziałów prawa w Polsce. Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego powtórzył swój ubiegłoroczny sukces, zajmując 1. miejsce w kategorii uczelni publicznych.

W zestawieniu brano pod uwagę poziom kadry naukowej oraz jakość oferowanego wykształcenia, w tym wymogi stawiane studentom. Ważnym elementem było również przygotowanie absolwentów do wykonywania zawodu prawnika. W rankingu oceniono wszystkie wydziały prawa uczelni publicznych w Polsce.

Nagrodę w imieniu WPiA odebrał prof. Tadeusz Tomaszewski, ówczesny dziekan wydziału, a obecnie prorektor ds. nauczania i polityki kadrowej.

Mistrzostwo w MBA

18 czerwca br. rozstrzygnięta została druga edycja rankingu programów MBA zorganizowanego przez Stowarzyszenie Edukacji Menedżerskiej Forum. Ocenie poddano 34 programy nauczania z kilkunastu polskich szkół wyższych, które po badaniach zaliczono do odpowiednich grup. Były zatem programy mistrzowskie, profesjonalne, standardowe i aspirujące. International MBA Programme at CMT realizowany w Centrum Kształcenia Menedżerów przy Wydziale Zarządzania UW znalazł się wśród programów ocenionych jako mistrzowskie.

Centrum Kształcenia Menedżerów działa od ponad 10 lat. Prowadzi studia w języku angielskim skierowane dla menedżerów pracujących zarówno w firmach komercyjnych, jak i w organizacjach typu non-profit.

Mamma Mia! BUW przyjazny mamom

Zakończyła się tegoroczna – trzecia już – edycja plebiscytu na stołeczne miejsca przyjazne rodzicom i dzieciom, zorganizowanego przez Fundację MaMa. Uczestnicy plebiscytu mogli za pośrednictwem internetu wskazywać miejsca w Warszawie najlepiej przystosowane do potrzeb rodziców z małymi dziećmi. Poszczególne budynki były wyróżniane za wygodne podjazdy, parkingi dla wózków dziecięcych, wygodne drzwi. Rodzice doceniali też miejsca, gdzie można wygodnie przewinąć lub nakarmić dziecko. W plebiscycie nagrodzone zostały najróżniejsze instytucje i miejsca: księgarnie, restauracje, urzędy, sklepy. Jednym z wyróżnionych miejsc jest Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie. Biblioteka została wyróżniona przede wszystkim za organizację przestronną budynku i możliwość łatwego przemieszczania się osób z wózkiem. Mamy mogą tam korzystać z wind

i podjazdów i wygodnie poruszać się między poziomami. Doceniono też inne udogodnienia dla rodziców, jak choćby wygodne przewijaki. Wybrane przez rodziców miejsca, jako swoisty certyfikat, otrzymywały specjalnie przygotowane „wlepki”.

Nowe dowody dzięki naszym studentom

Dzięki projektowi naszych informatyków możliwe, że już w przyszłym roku będziemy mogli korzystać z elektronicznych dowodów osobistych. Zgodnie z planami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji nowy dowód osobisty ma być wyposażony w mikroprocesor zawierający zdjęcie oraz odciski palców posiadacza. Dokument będzie też podstawowym narzędziem dostępu do systemów administracji państwowej, takich jak ZUS, fiskus, NFZ. Oczywiście jest, że tego typu przedsięwzięcie wymaga solidnego przygotowania systemów informatycznych. Firma Ernst & Young w konkursie kończącym tegoroczną – IV już – edycję programu „Uniwersytet Ernst & Young” wykorzystła właśnie ten projekt MSWiA jako zadanie konkursowe. Wcześniej, podczas cyklu zajęć, omówiono zagadnienia odnoszące się do najczęściej spotykanych problemów związanych z funkcjonowaniem procesów biznesowych, realizacją projektów informatycznych i ochroną zasobów informatycznych w przedsiębiorstwach. Zdobytą wiedzę studenci wykorzystali w drugim etapie, pracując nad zadaniem opartym na pomysłach MSWiA. W zmaganiach wzięło udział 6 drużyn informatyków z różnych uczelni. Zespoły miały za zadanie opracować sposoby wdrożenia projektu, oszacować jego budżet i przygotować szczegółowy plan. Zwycięzcami konkursu zostali studenci informatyki UW. Michał Kutyla, Krzysztof Gogół, Paweł Tryfon oraz Tomasz Turski przygotowali najlepszy projekt. Każdy z nich otrzyma nagrodę pieniężną oraz możliwość odbycia stażu w firmie E&Y. Bardzo możliwe, że to właśnie projekt opracowany przez naszych informatyków zostanie wykorzystany przez MSWiA przy wprowadzaniu nowych dowodów osobistych.

Jubileusz 65-lecia prof. Józefa Wiktorowicza

Prof. Józef Wiktorowicz, znany warszawski językoznawca i wybitny germanista, od ponad czterdziestu lat związany z Instytutem Germanistyki UW, obchodził 5 czerwca swoje 65-te urodziny. Z tej okazji grono jego uczniów i przyjaciół przygotowało dla niego księgę pamiątkową zatytułowaną „Vom Wort zum Text. Studien zur deutschen Sprache und Kultur. Festschrift für Professor Józef Wiktorowicz zum 65. Geburtstag (Od słowa do tekstu)”.

Prof. Józef Wiktorowicz w swoich badaniach koncentruje się przede wszystkim

na historii języka niemieckiego, szczególnie w ujęciu leksykalnym jak i tekstologicznym. Jest autorem trzech monografii o rozwoju znaczenia przysłówków czasowych w okresie średnio- i wysoko-niemieckim.

Uroczyste wręczenie książki pamiątkowej miało miejsce 13 czerwca br. w sali im. J. Brudzińskiego w Pałacu Kazimierzowskim. Licznie zebrani goście z kraju i z zagranicy zostali przywitani przez dyrektora Instytutu Germanistyki, prof. Lecha Kolago. Dr hab. Zofia Marzec przekazała życzenia w imieniu zespołu dziekańskiego Wydziału Neofilologii oraz list gratulacyjny od rektora UW, prof. Katarzyny Chałasińskiej-Macukow. Przed laudatio, wygłoszonym przez prof. Wolfganga Heinemanna, znanego niemieckiego językoznawcę, emerytowanego naukowca z Uniwersytetu w Lipsku i przyjaciela jubilata, list gratulacyjny od ambasadora Niemiec w Warszawie przekazał Jens Luedkenherm, kierownik działu kultury ambasady Niemiec. Pani Marzena Świrski-Molenda przekazała gratulacje w imieniu Polskiego Wydawnictwa Naukowego, które w tym roku wydało „Wielki Słownik polsko-niemiecki” pod redakcją prof. Józefa Wiktorowicza i dr Agnieszki Frączek. Po otrzymaniu książki pamiątkowej prof. Wiktorowicz, skierował do zebranych gości słowa podziękowania i wyraził wielkie zdumienie, że uroczystość udało się przygotować w tajemnicy przed nim.

Dnia 14 czerwca br. odbyła się również dedykowana prof. Józefowi Wiktorowiczowi konferencja lingwistyczna. Tematem trzech dyskusji panelowych była zmiana paradygmatu w językoznawstwie, słowo oraz tekst jako obiekt badawczy i wyzwanie dla wielu perspektyw poznawczych. Między dyskusjami panelowymi, w których uczestniczyli wybitni polscy i niemieccy językoznawcy, zostały wygłoszone cztery referaty.

Warszawski Kongres Judaistyczny

W dniach 16-18 czerwca br. odbył się Pierwszy Warszawski Kongres Judaistyczny zorganizowany przez Uniwersytet Warszawski i Urząd m. st. Warszawy. Sympozjum odbyło się przy zaangażowaniu organizacji badających historię Żydów w Polsce, m.in. Muzeum Historii Żydów Polskich i Żydowskiego Instytutu Historycznego. Program kongresu został podzielony na jedenaście sekcji tematycznych. W ramach każdej z nich wygłoszono od kilku do kilkunastu referatów. W czasie kongresu wiele uwagi poświęcono historii Żydów w Polsce - od średniowiecza aż do czasów drugiej wojnie światowej. Jeden z bloków tematycznych był też poświęcony życiu Żydów w powojennej Polsce. Uczestnicy rozmawiali o problemach stereotypów i antysemityzmu oraz sztuce i literaturze żydowskiej.

Więcej informacji na temat kongresu można znaleźć na stronie <http://www.wkjiuhw.pl/>.

5. Warszawska Konferencja Wschodnioeuropejska

Już po raz piąty odbyła się Warszawska Konferencja Wschodnioeuropejska zorganizowana przez Studium Europy Wschodniej UW. W tym roku trwała od 15 do 18 lipca. Temat konferencji brzmiał „Wolność i władza. Imperia, państwa i narody na wschodzie XVII-XXI w”. Podczas obrad dyskutowano przede wszystkim o wolności religijnej oraz stosunku władzy w państwach komunistycznych do związków wyznaniowych. Drugim zespołem poruszanych zagadnień był problem demokracji w krajach postkomunistycznych, pojęcie obywatelstwa i społeczeństwa obywatelskiego.

53. kurs języka polskiego dla obcokrajowców

Od ponad pół wieku Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców „Polonicum” organizuje wakacyjny kurs języka polskiego i kultury polskiej dla obcokrajowców. W tym roku w kursie wzięło udział ponad 250 osób. Największą grupę wśród nich stanowili mieszkańcy Starego Kontynentu (Niemcy, Francuzi, Hiszpanie), ale nie brakowało także osób z bardziej odległych zakątków globu. Jak co roku zagraniczni goście mieli okazję poznać tajniki języka polskiego, panujące w Polsce zwyczaje, a na zakończenie zajęć zatańczyć uroczyste poloneza.

Obchody 64. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego na UW

Jak co roku, 1 sierpnia na terenie zabytkowego kampusu Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu odbyły się uroczystości upamiętniające wybuch Powstania Warszawskiego. W obchodach wzięło udział prof. Wojciech Tygielski, ówczesny prorektor UW, prof. Włodzimierz Siwiński, rektor UW w latach 1993-1999 oraz liczni przedstawiciele społeczności akademickiej. Jak zwykle jednak najważniejszymi uczestnikami uroczystości byli kombataneci. Byli wśród nich i tacy, którzy 64 lata temu osobiście stanęli do walki i próbowali odbić teren uniwersytecki z rąk okupanta. Prof. Tygielski przywitał ich bardzo ciepło i podkreślił, jak ważna dla całej społeczności UW jest pamięć o bohaterskich czynach powstańców. – Bardzo jesteśmy dumni z tego, że mamy swoich Krybarowców, którzy chętnie goszczą na naszej uczelni. Chciałbym ich wszystkich dziś prosić, aby odwiedzali nas jeszcze częściej. Jako uniwersytet stoimy nie tylko przed wielkimi wyzwaniami edukacyjnymi, ale i wychowawczymi. Zwłaszcza teraz, w dobie zalewu informacji i globalizacji, potrzebujemy wsparcia osób, które są świadectwem tego, czym jest patriotyzm i w jaki sposób należy myśleć o ojczyźnie – powiedział prorektor UW.

Historię trzech nieudanych prób odbicia kampusu uniwersyteckiego z rąk hitlerowców przybliżył prof. Janusz Paszyński, od lat związany z UW – najpierw jako student, a później jako wieloletni wykładowca Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Opowiedział o tym, jak w tych dramatycznych dniach, on i jego koledzy próbowali uwolnić uniwersytet. – Spotykamy się tu zawsze o tej samej godzinie, zawsze o 11:00. To właśnie o tej godzinie 64 lata temu w Warszawie zawyły syreny mające zawiadomić wszystkie oddziały AK, że za sześć godzin od tego momentu rozpocznie się bój o Warszawę. Tak też się stało – powiedział prof. Paszyński.

Powstaniec opowiadał o wszystkich dramatycznych momentach szturmów na uniwersytet, o braku amunicji, o rannych i poległych kolegach. Podkreślił też, że mimo poniesionej klęski ich wysiłek nie został zmarnowany. Mówił o tym, że bohaterski zryw powstańczy był wielokrotnie przywoływany za wzór podczas strajków w trudnym okresie PRL. – Przyszliśmy tutaj, aby upamiętnić tych wszystkich, którzy walczyli i polegli w walkach o Uniwersytet Warszawski, wszystkich tych powstańców, którzy już odeszli na wieczną wartę. Oddajmy im hołd – dodał na zakończenie prof. Paszyński.

Regaty wioślarskie

24 maja br. odbyły się już po raz 58. regaty ósemek wioślarskich. W zawodach rozgrywanych na Wiśle, Uniwersytet Warszawski rywalizował z Politechniką Warszawską. Po raz pierwszy ZG AZS Warszawa Śródmieście, jako główny organizator tej imprezy, postanowił przenieść miejsce rozgrywania wyścigu, z odcinka rzeki między Mostem Łazienkowskim a Mostem Poniatowskiego, na dużo atrakcyjniejszy odcinek rzeki przy Zamku Królewskim i Starym Mieście. Atrakcyjne miejsce i włączenie regat w uroczystości Juwenaliów, odbywających się tego dnia na Podzamczu, przyczyniły się do zwiększenia liczby widzów, nawet tych przypadkowych, nie zawsze odróżniających łódkę wioślarską od kajaka.

Ósemki politechniki i uniwersytetu tydzień wcześniej (17-18 maja) startowały w uczelnianych mistrzostwach Polski w Kruszwicy. UW uplasował się wówczas na miejscu szóstym, a PW była dziesiąta. Nasza uczelnia zdobyła podczas mistrzostw brązowy medal w rankingu wszystkich typów uczelni, a srebrny wśród uniwersytetów. W ogólnej punktacji liczyły się oprócz szóstego miejsca ósemki, również trzecie miejsce dwójki podwójnej kobiet oraz czwarte i dziesiąte miejsce kobiecych jedynek.

Także 24 maja wioślarze UW okazali się lepsi od sportowców z politechniki. Nasza osada zwyciężyła, osiągając przewagę nad osadą PW liczącą nawet trzy długości łódki.

**Prezydent RP Lech Kaczyński nadał tytuł naukowy profesora
następującym pracownikom Uniwersytetu Warszawskiego:**

Prof. dr. hab. **Jerzemu Miziołkowi** (*Wydział Historyczny*)

Prof. dr. hab. **Mirosławie Krystynie Lasek** (*Wydział Nauk Ekonomicznych*)

Prof. dr. hab. **Waldemarowi Janowi Urbanowi** (*Wydział Fizyki*)

Prof. dr. hab. **Ireneuszowi Piotrowi Walaszczykowi** (*Wydział Geologii*)

**Senat UW na posiedzeniu 18 czerwca 2008 r.
pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania na stanowisko:**

◀ profesora nadzwyczajnego na UW na pięć lat ▶

dr. hab. **Grzegorza Dąbkowskiego** (*Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych*)

dr. hab. **Artura Magnuszewskiego** (*Wydział Geografii i Studiów Regionalnych*)

dr. hab. **Katarzyny Ostaszewskiej** (*Wydział Geografii i Studiów Regionalnych*)

dr. hab. **Niny Barszczewskiej** (*Wydział Lingwistyki Stosowanej i Filologii Wschodniosłowiańskich*)

dr. hab. **Ludmiły Łucewicz** (*Wydział Lingwistyki Stosowanej i Filologii Wschodniosłowiańskich*)

dr. hab. **Krystyny Milczarek-Pankowskiej** (*Wydział Pedagogiczny*)

dr. hab. **Michała Romanowskiego** (*Wydział Prawa i Administracji*)

dr. hab. **Tomasza Staweckiego** (*Wydział Prawa i Administracji*)

dr. hab. **Jolanty Sujekiej** (*Instytut Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”*)

◀ profesora nadzwyczajnego na UW na czas nieokreślony ▶

dr. hab. **Rafała Latały** (*Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*)

dr. hab. **Jerzego Matczuka** (*Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*)

dr. hab. **Wojciecha Plandowskiego** (*Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*)

dr. hab. **Piotra Rybki** (*Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*)

dr. hab. **Dariusza Wrzoska** (*Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki*)

prof. dr. hab. **Axela Holvoeta** (*Wydziału Polonistyki*)

◀ profesora zwyczajnego na UW na czas nieokreślony ▶

prof. dr. hab. **Elżbiety Zawadzkiej-Bartnik** (*Wydział Neofilologii*)

prof. dr. hab. **Marii Kenig-Witkowskiej** (*Wydział Prawa i Administracji*)

prof. dr. hab. **Jerzego Poczobuta** (*Wydział Prawa i Administracji*)

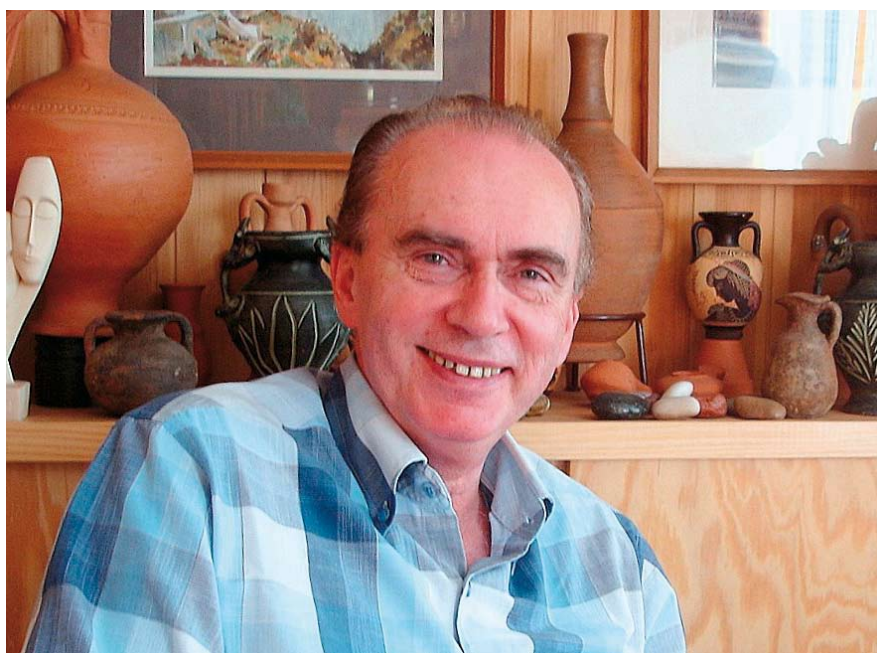
prof. dr. hab. **Andrzeja Nowaka** (*Wydziału Psychologii*)

prof. dr. hab. **Piotra Wilczka** (*Instytut Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”*)

Naukowa wspinaczka

10 września w laboratorium Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN w Genewie uruchomiono Large Hadron Collider (Wielki Zderzacz Hadronów). W projekt od lat zaangażowani są fizycy z polskich uczelni i innych instytucji naukowych. Polski wkład w LHC zaprezentowano podczas specjalnej konferencji zorganizowanej w dniu uruchomienia akceleratora na Wydziale Fizyki UW.

O spodziewanych odkryciach LHC, planowanej już budowie następcy genewskiego akceleratora oraz fizycznej „teorii wszystkiego” z prof. Stefanem Pokorskim z Instytutu Fizyki Teoretycznej UW „na chwilę” przed uruchomieniem LHC rozmawiała Katarzyna Zagrajek-Łukaszewska



Prof. Stefan Pokorski, fot. zbiory prywatne

Katarzyna Zagrajek-Łukaszewska: LHC to nazwa, która w obecnej chwili jest na ustach wszystkich. Temat akceleratora bez przerwy przewija się w mediach, nie tylko w czasopiśmie specjalistycznych. Jak pan profesor sądzi, skąd bierze się fascynacja akceleratorem wśród osób spoza świata naukowego?

Stefan Pokorski: LHC fascynuje jako osiągnięcie techniczne. Promując akcelerator kładzie się najczęściej nacisk na zupełnie niespotykaną dotychczas skalę przedsięwzięcia technicznego oraz skalę innowacji. Często LHC określa się mianem największego laboratorium na ziemi, co jest prawdą. Jako fizyk-teoretyk nie chciałbym jednak, by w tym ogólnym podnieceniu gubił się sens badań w LHC.

K.Z.-Ł.: Przejdźmy w takim razie do celów, jakim służyć ma LHC. Najogólniej rzecz ujmując akcelerator będzie zajmował się badaniem cząstek elementarnych. Na czym takie badania polegają?

S.P.: Przede wszystkim trzeba podkreślić ciągłość badań zajmujących się strukturą materii. To, co teraz nazywamy fizyką cząstek elementarnych jest konsekwencją badań prowadzonych właściwie od starożytnej Grecji, a w czasach współczesnych od Newtona. Dlatego uważam, że nie należy mówić o fizyce cząstek elementarnych tylko o fizyce oddziaływań elementarnych i badaniu struktury materii. Wtedy widać wspólny mianownik. Dla Newtona fizyką oddziaływań elementarnych było badanie oddziaływań grawitacyjnych. Podstawowymi składnikami mate-

rii były wówczas ciała makroskopowe. Potem były badania związane z elektrycznością i magnetyzmem, które zakończyły się zuniifikowaniem opisu tych oddziaływań w teorię elektromagnetyczną przez Jamesa Maxwella. Wtedy fizyką oddziaływań elementarnych był elektromagnetyzm.

Obecne badania są konsekwencją odkryć sprzed stu lat dokonanych przez Henriego Becquerela, Piotra Curie, Marię Skłodowską-Curie oraz Ernesta Rutherforda. Odkryta przez nich promieniotwórczość została później zidentyfikowana jako oddziaływanie słabe, odpowiedzialne za rozpad neutronu (inicjujący promieniotwórcze rozpady jąder atomowych) i oddziaływanie silne, odpowiedzialne za łączenie się protonów i neutronów w większe jądra atomowe. Dopiero niedawno, pod koniec ubiegłego stulecia, zaobserwowane sto lat temu zjawiska zostały w pełni zrozumiane i opisane w ramach teorii zwanej skromnie Modelem Standardowym. Model jest wspaniałym osiągnięciem, uwiecznieniem stu lat badań. Żeby zrozumieć cel LHC i jego znaczenie dla wciąż istniejących zagadek poznawczych trzeba znać tę historię. I jeszcze jedno: trzeba w pełni zdać sobie sprawę ze związku między fizyką oddziaływań elementarnych a astrofizyką, kosmologią i historią wszechświata. A te dostarczają nam kolejną porcję fascynujących zagadek.

K.Z.-Ł.: Czy LHC będzie zatem weryfikował prawdziwość Modelu Standardowego?

S.P.: Model Standardowy doświadczalnie został już właściwie sprawdzony, z wyjątkiem jednego, ale bardzo ważnego, elementu.

Jednym z osiągnięć Modelu Standardowego jest kolejna unifikacja oddziaływań elementarnych – elektromagnetycznych oraz słabych. W tym jednolitym opisie zaskakuje fakt, że foton będący nośnikiem oddziaływań elektromagnetycznych ma masę zero, a nośniki oddziaływań słabych, tzw. bozony W i Z, mają masę ogromną, jak na skalę

mas cząstek elementarnych. Są bowiem 100 razy cięższe od masy protonu. Zaskakujące jest, że można połączyć ze sobą dwa typy oddziaływań przenoszonych przez tak różne cząstki. Model Standardowy proponuje pewne rozwiązanie, wiążące się z tzw. polem Higgsa, które hipotetycznie wyjaśnia dlaczego bozony W i Z mają masę, a foton jej nie ma. Jest to brakujące ogniwo Modelu Standardowego, wiążące się bezpośrednio z pomiarami w LHC.

K.Z.-Ł.: Na czym polega teoria związana z polem Higgsa?

S.P.: Często mówi się, że LHC rozwiąże problem masy. Pojęcie masy zostało wprowadzone przez Newtona, jako miara oporu, jaki ciało stawia przy próbie wprowadzenia go w ruch. Newton nie odpowiedział jednak na pytanie jakie jest źródło masy.

My wiemy obecnie, że masa ciała, ogólnie rzecz ujmując, bierze się z oddziaływań jakim ono podlega. Głównym źródłem masy protonów, neutronów i jader atomowych są oddziaływania silne. Pojawia się jednak pytanie, skąd bierze się masa bozonów W i Z czy leptonów, jak elektron, które nie oddziałują silnie. Modelem, który wyjaśnia różnice w masach bozonów W i Z i fotonu jest hipoteza, że istnieje dodatkowe oddziaływanie z próżnią, która w fizyce cząstek wcale nie jest próżna. Musimy wyobrazić sobie, że cała przestrzeń jest czymś wypełniona, np. eterem – pojęciem używanym nawet w poezji. Analogicznie cała mikroprzestrzeń jest także czymś wypełniona. To „coś”, w najprostszej wersji modelu, zostało właśnie nazwane polem Higgsa. Według tej hipotezy próżnia, czyli pole Higgsa może oddziaływać z poruszającymi się w niej bozonami i elektronem, tworząc pewien opór, a więc nadając im masę, ale nie może oddziaływać z fotonem. Z polem Higgsa wiąże się też istnienie nowej, realnej cząstki elementarnej, cząstki Higgsa, która nie została jeszcze odkryta.

K.Z.-Ł.: Czyli od LHC oczekuje się znalezienia cząstki Higgsa?

S.P.: Tak, ale sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Sam mechanizm nadawania masy bozonom W i Z poprzez oddziaływanie z próżnią został pośrednio sprawdzony i uznaje się go za prawdziwy niezależnie od tego, czy tak rozumiana cząstka Higgsa istnieje. Hipoteza o cząstce Higgsa jest konsekwencją mechanizmu, ale tylko w jego najprostszym schemacie. W bardziej skomplikowanych opisach mechanizmu ten realizuje się w inny sposób, może np. istnieć wiele cząstek Higgsa. Oczekujemy więc odkrycia cząstki Higgsa lub innej przyczyny dla której próżnia oddziałuje z cząstkami elementarnymi. Odkrycie cząstki Higgsa będzie dobitnym potwierdzeniem mechanizmu oddziaływania z próżnią oraz postawieniem kropki nad „i” Modelu Standardowego.

Warto od razu dodać, że na tym nasze pytania się nie kończą. Zrozumiemy źródło masy bozonów W i Z, ale wciąż nie będziemy umieli przewidzieć teoretycznie ich wartości.

Jest to poza zasięgiem Modelu Standardowego. LHC może nam umożliwić wyjście na tyle poza Model Standardowy, aby skonstruować jeszcze bardziej podstawową teorię, która umożliwi policzenie mas bozonów W i Z. I to jest drugi, fascynujący wątek badań w LHC.

K.Z.-Ł.: A czego ponadto można się spodziewać po LHC? Często słyszy się, że LHC ma odpowiedzieć na wielkie pytania fizyki?

S.P.: Należy podkreślić, że Model Standardowy jest trwałym osiągnięciem, które bez względu na odkrycia LHC, pozostanie w podręcznikach, jak choćby równania Newtona. Ma on jednak, oprócz kwestii związanych z cząstką Higgsa, pewne problemy spójności teoretycznej. Jest niezwykle mało prawdopodobne, żeby to była „teoria wszystkiego”. Naturalna jest chęć znalezienia tego, co jest rozszerzeniem Modelu Standardowego. Niespójności Modelu sugerują, że odpowiedź znajduje się w zasięgu LHC.

Jest także astrofizyczny aspekt badań. Jesteśmy prawie pewni, że istnieje we wszechświecie ciemna (to znaczy nieemitująca promieniowania elektromagnetycznego) materia, która nie jest żadną z cząstek nam znanych. Mamy fakt doświadczalny wynikający z obserwacji nieba, że istnieją jakieś inne rodzaje cząstek spełniające rolę ciem-

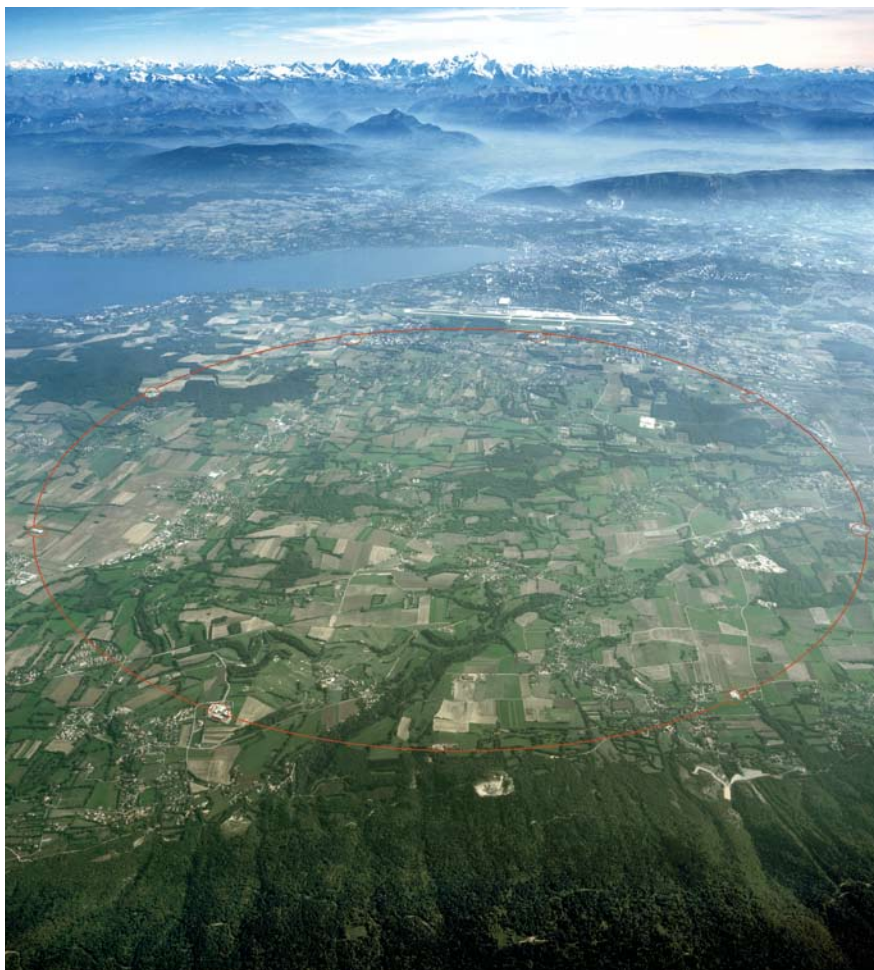
nej materii, które powinny znaleźć swoje miejsce w rozszerzeniu Modelu Standardowego. One także powinny być dostępne w LHC. Fascynującą zagadką wszechświata jest fakt, że prawie cała jego energia zgromadzona jest w czymś, czego jeszcze nie odkryliśmy.

K.Z.-Ł.: Ale fizycy nie są do końca pewni, co zostanie odkryte w LHC?

S.P.: Fascynacja LHC wśród fizyków bierze się stąd, że mamy nadzieję, że wreszcie pojawi się coś zupełnie nowego. Przez ostatnie półwiecze kolejne etapy rozwoju badań można było w dużym stopniu przewidzieć. Akceleratory były budowane z przekonaniem, co tam będzie odkryte. Teraz sytuacja jest o tyle inna, że wprowadzie teoretycy mówią, że coś zostanie w LHC odkryte, ale nie ma pewności, co to będzie. To jest podstawowa różnica – LHC to nie kontynuacja, mamy nadzieję, że będzie to, mówiąc w przenośni, nowy świat.

My teoretycy dajemy kilka możliwości, m.in. supersymetrię, czy istnienie dodatkowych wymiarów. Ale w tej chwili naprawdę nie można przewidzieć, która z tych opcji okaże się prawdziwa.

K.Z.-Ł.: Jeśli zatem nie wiadomo, w którym kierunku pójdą badania, dlaczego już



Obszar niedaleko Genewy, pod którym znajduje się LHC, fot. AC Team, CERN, (www.cern.ch)

teraz słyszy się o budowie kolejnego akceleratora - ILC? Skąd wiadomo jak ma on być zbudowany, jeśli nie mamy jeszcze wyników z LHC?

S.P.: Na razie nie ma konkretnego planu, trwa tylko dyskusja. LHC budowano przez 20 lat, wobec tego o kolejnym akceleratorze także trzeba myśleć znacznie wcześniej.

O ile budowa LHC oparta była na bardzo konkretnych wskazówkach, o tyle planowanie kolejnego akceleratora jest bardzo trudne. Zależnie od tego, co będzie odkryte w LHC trzeba odpowiednio zaprojektować nowy akcelerator.

Generalnie zawsze w fizyce było tak, że budowało się akceleratory na przemian: najpierw „dla odkrycia” a później „dla precyzyjnych pomiarów tego, co zostało odkryte”, potem znowu „dla odkrycia”, itd. Tym razem nie wiadomo, czy kolejny akcelerator będzie badał precyzyjnie to, co zostanie odkryte w LHC, czy może będziemy chcieli by miał większą moc odkrywczą. Mówi się o budowie Międzynarodowego Zderzacza Liniowego (International Linear Collider), czyli akceleratora, który zderzać będzie elektrony z pozytonami a nie protony.

Nikt się nie zdecydował w tej chwili na sfinansowanie i rozpoczęcie jakichkolwiek prac konstrukcyjnych dopóki nie będziemy znali wyników LHC. Zależy to od kilku pierwszych lat badań w CERN-ie i tego jakie nowe pytania postawi nam LHC.

K.Z.-Ł.: Wracając zatem do LHC. Jak będzie wyglądał przebieg wykonywanych tam doświadczeń? Co będzie działało się wewnątrz akceleratora podczas eksperymentu?

S.P.: W LHC będzie dochodziło do zderzeń protonów z protonami. Problem polega na tym, żeby przyspieszyć protony do wystarczająco wysokiej energii. Protony przyspiesza się dzięki oddziaływaniom elektromagnetycznym, przepuszczając je przez ogromny układ magnesów, ustawionych wzdłuż rury o średnicy 30 km, w której biegą wiązki protonów. Teoretycznie przyspieszanie jest proste, ale w praktyce wiąże się z wieloma problemami technicznymi na niespotykaną dotychczas skalę, gdyż miliardy protonów w wiązce muszą być nie tylko przyspieszone, ale muszą też z ogromną precyzją biec w tym samym kierunku.

Następnie zogniskowane wiązki protonów biegnące w dwóch przeciwnych kierunkach muszą się co jakiś czas przeciąć. Do ich zderzenia doprowadza się w 4 punktach. Wynik ich zderzenia rejestrują detektory, będące systemami elektronicznymi, których ogromne rozmiary robią największe wrażenie na zwiedzających CERN. Częstki są odróżniane poprzez sygnały elektroniczne. Ważna jest nie tylko detekcja zderzeń, ale też ich selekcja. Zderzenia, w których może dojść do odkrycia czegoś nowego są niezwykle rzadkie. Zgodnie z szacunkami teoretycznymi jedno zderzenie na miliard może nam przynieść coś ciekawego. Jest to trudniejsze niż szukanie igły w stogu siana.

Kolejnym zadaniem jest zidentyfikowanie tego, co zostało zaobserwowane.

K.Z.-Ł.: I tutaj pojawia się zadanie dla teoretyków?

S.P.: Tak, pojawia się bowiem pytanie jak np. odróżnić świat supersymetryczny od świata wielowymiarowego. Konieczne jest dopasowanie wyników badań do teorii.

W ogóle należałoby zwrócić uwagę na rolę teorii, a raczej współdziałania teorii i doświadczenia. Fizyka jest nauką empiryczno-racjonalną, czy racjonalno-empiryczną. Nie ma fizyki bez doświadczenia i nie ma fizyki bez teorii. Nie zbudowano by LHC, gdyby nie ogromna praca teoretyczna, wskazująca możliwości tego, co tam zostanie odkryte oraz sugerująca, jak to zrobić. Rola teoretyków polegała na dostarczeniu hipotez i argumentów za budową akceleratora.

Warto podkreślić, że grupa teoretyków z Wydziału Fizyki UW jest bardzo aktywna, jeśli chodzi o badania związane z LHC. Specjalizacją naszej katedry od ponad 20 lat jest badanie fizyki wykraczającej poza Model Standardowy. Cieszymy się z naszego udziału i wkładu w światowy program badawczy i czekamy niecierpliwie na pierwsze dane z LHC. Dla nas zbudowanie większej struktury teoretycznej, z której będzie wynikał Model Standardowy, jest ogromnym i fascynującym wyzwaniem.

K.Z.-Ł.: Czy tylko jedna z zaproponowanych do tej pory przez teoretyków hipotez może okazać się prawdziwa?

S.P.: Tylko jedna z opcji może okazać się istotna dla uogólnienia Modelu Standardowego. Sądzę jednak, że kiedy pojawią się pierwsze wyniki, to przewidywania teoretyczne, które wskazały kierunek badań doświadczalnych nie zostaną potwierdzone w 100 procentach. Dane doświadczalne zmuszą nas do modyfikacji konkretnych rozwiązań. Wskazówki pozwolą nam wprowadzić do naszych badań teoretycznych odpowiednie retusze.

K.Z.-Ł.: A czy dzięki LHC możliwe będzie zbudowanie „teorii wszystkiego”, o której pan profesor wspominał? Czy jest to w zasięgu ludzkich możliwości?

S.P.: W tym momencie wchodzimy w aspekty filozoficzne. Niektórzy wierzą, że można zbudować „teorię wszystkiego” samym wysiłkiem ludzkiego umysłu. To mi przypomina okres wczesnego średniowiecza i scholastykę, która nie doprowadziła jednak do większego postępu w nauce. Obecnie też są pewne tendencje w tym samym kierunku - żeby znowu stawiać wyłącznie na siłę umysłu. Niektórzy sądzą, że np. teoria strun jest „teorią wszystkiego”. Teoria strun nie doprowadziła jeszcze jednak do żadnych konkretnych przewidywań, które można sprawdzać doświadczalnie. Choć są tam oczywiście pewne interesujące aspekty.

Mówienie, że istnieje „teoria wszystkiego” jest świadectwem wyznania pewnej filozofii. Moim zdaniem postęp w fizyce, jak i w całej nauce, będzie odbywał się etapami.

Jedno odkrycie będzie pociągać za sobą kolejne. Teraz jesteśmy w punkcie zwrotnym, jeśli chodzi o fizykę oddziaływań elementarnych. Podsumowując, zrozumiano strukturę materii do poziomu 10^{-18} metra. Dla laika wyobrażenie sobie takiej odległości może wydawać się absurdalne. Przypomnę, że mikron to 10^{-6} metra! Mówiąc obrazowo, rozmiar najmniejszych cząstek elementarnych to 10^{-18} metra. Przy okazji zrozumiano bezpośrednio z tym związaną historię wszechświata od jednej miliardowej sekundy po Wielkim Wybuchu, aż do chwili obecnej. Całą tą wiedzę zamknięto w Modelu Standardowym. Niewyjaśnione są pewne defekty Modelu, ani to, co się działo we wszechświecie przed jedną miliardową sekundą po Wielkim Wybuchu. A wtedy musiała powstać ciemna materia, musiała zniknąć antymateria, itd.

K.Z.-Ł.: A LHC może dać odpowiedź na te pytania?

S.P.: W LHC cząstki elementarne będą się zderzać z energią około 100 razy większą niż w dotychczas zbudowanych akceleratorach. To nas przesuwa o ten czynnik sto w kierunku jeszcze mniejszych odległości i wcześniejszego wszechświata. Jeśli nasze argumenty teoretyczne są poprawne, to powinniśmy uzyskać wtedy odpowiedź przynajmniej na część pytań, o których tu rozmawiamy. LHC jest oknem do całkiem nieznanego świata i może otworzyć nowy rozdział poszerzania naszej wiedzy. W fizyce cząstek elementarnych widać wyraźnie, że postęp odbywa się pewnymi etapami. Jakbyśmy w trakcie górskiej wspinaczki wchodzili z jednej półki na drugą. Weszliśmy na półkę będącą Modelem Standardowym i strasznie trudno zdobyć informację o następnej półce. Mamy silne argumenty za tym, że taka półka istnieje, ale bardzo mało wskazówek, które by sugerowały co się na niej znajduje. Wcześniej wspinając się mieliśmy z grubsza informacje na temat tego co jest wyżej. LHC to rozpoczęcie wspinaczki na kolejną półkę.

Prof. dr hab. Stefan Pokorski kieruje Katedrą Teorii Cząstek i Oddziaływań Elementarnych Instytutu Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Jest członkiem rzeczywistym Wydziału III – Nauk Matematycznych, Fizycznych i Chemicznych Polskiej Akademii Nauk oraz członkiem korespondentem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Polskiej Akademii Umiejętności. Profesor należy także do Polskiego Towarzystwa Fizycznego oraz Europejskiego Towarzystwa Fizycznego.

Podwójne uhonorowanie Mistrza

prof. Jan Baszkiewicz doktorem honoris causa UJ i UMS

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL, BIURO PRASOWE UW



Prof. Karol Musiol, rektor UJ wręcza dyplom DHC prof. Baszkiewiczowi, fot. A. Wojnar

Rzadko zdarza się, aby jedna osoba w ciągu zaledwie kilku dni została uhonorowana najwyższą godnością akademicką – tytułem doktora honoris causa – aż dwóch uczelni. Jednak, gdy weźmie się pod uwagę niezwykle dokonania prof. Jana Baszkiewicza, takie podwójne wyróżnienie nie może dziwić tak bardzo. Ten wybitny historyk doktryn politycznych 17 czerwca br. uzyskał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, a tydzień później został uhonorowany godnością doktora honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego zdecydował o nadaniu prof. Baszkiewiczowi doktoratu honorowego podczas posiedzenia 7 maja 2008 r. Recenzentami dorobku profesora byli prof. Marek Maciejewski z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. Henryk Olszewski z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Promotorem doktoratu był prof. Jacek Majchrowski z Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Uroczystość nadania doktoratu odbyła się 25 czerwca br.

Władze Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie nadały tytuł doktora honoris causa prof. Baszkiewiczowi podczas obchodów 15-lecia Wydziału Politologii UMCS. Promotorem doktoratu honorowego był prof. Edward Olszewski z Wydziału

Politologii UMCS, recenzentami dorobku profesora byli prof. Andrzej Sylwestrak z Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Ryszard Herbut z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. Marek Żmigrodzki z UMCS.

Prof. Baszkiewicz od początku swej kariery naukowej jest związany z Uniwersyteciem Warszawskim. To tu w 1951 r. ukończył studia na Wydziale Prawa; na tym samym wydziale uzyskał też stopień doktora. Od 1973 r. związany jest z Instytutem Nauk Politycznych UW. Jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk. Profesor jest członkiem licznych komitetów redakcyjnych, w tym m. in. czasopism „Państwo i Prawo”, „Czasopismo Prawno-Historyczne”. Jest też przewodniczącym Rady Redakcyjnej „Acta Poloniae Historiae”. Należy do kilku francuskich i włoskich towarzystw naukowych, m.in. Societe d'Histoire de Dront, Associazione degli Storici Europei.

Zainteresowania badawcze profesora koncentrują się wokół trzech zagadnień: historii myśli politycznej i ruchów społecznych, myśli politycznej Oświecenia oraz historii rewolucji europejskich XVIII i XIX wieku. Profesor Baszkiewicz jest zaliczany do grona najznakomitszych polskich naukowców.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego w szczególności wyróżnił zasługi prof. Baszkiewicza w zakresie badań nad historią Francji i fundamentalne dzieła dotyczące średniowiecznej teorii państwa i myśli politycznej.

Część z nich to podręczniki uniwersyteckie, na których wykształciło się wiele pokoleń studentów prawa i politologii. Książki profesora cieszą się ogromnym uznaniem. Wśród najważniejszych należy wymienić syntezy dziejów Francji, pt. „Francja w Europie”, „Francja nowożytna. Szkice z historii XVII-XX w.”. Nie można też zapomnieć o pracach wielokrotnie już wznawianych i poprawianych: „Państwo suwerenne w feudalnej doktrynie politycznej od początków XIV wieku”, „Historia doktryn polityczno-prawnych do końca XVII wieku”, „Myśli polityczne wieków średnich” oraz „Powszechna historia państwa i prawa”. – Rozprawy Jana Baszkiewicza, przede wszystkim zaś jego liczne książki czyta się – jak sądzę – wręcz z zapartym tchem. Nigdy one nie nużą, choć większość z nich ma przecież charakter naukowy. Nie zawaham się stwierdzić, że lektura tych publikacji stanowi prawdziwą ucztę duchową – podkreślił w swojej recenzji prof. Maciejewski.

Senat UJ docenił też wkład profesora w popularyzację wiedzy historycznej, politologicznej i prawniczej oraz fakt, że profesor jest wychowawcą wielu badaczy dziejów państwa, historii doktryn polityczno-prawnych. Wielu spośród wychowanków profesora związało swoją karierą z Uniwersyteciem Warszawskim, tu wykładają i prowadzą badania. – Profesor Baszkiewicz jest nie tylko wybitnym uczonym głoszącym zawsze własne, niejednokrotnie niepopularne, idące pod prąd każdorazowej poprawności politycznej poglądy, lecz także znakomitym nauczycielem pokoleń uczonych, mistrzem dla wielu obecnych profesorów – podkreślił w laudacji prof. Majchrowski. Prof. Baszkiewicz cieszy się także doskonałą opinią wśród studentów, którzy doceniają przede wszystkim ogromną wiedzę i erudycję profesora oraz jego świetne poczucie humoru. Podkreślają, że wykłady są źródłem wielu informacji historycznych, a egzaminy – z prof. Baszkiewiczem – określają jako „przyjacielską, inteligentną rozmowę inteligentnych ludzi”.

Władze Uniwersytetu Jagiellońskiego odniosły się też do znacznych zasług profesora w zakresie integracji środowiska akademickiego w Polsce. Profesor przez wiele lat współpracował z uczonymi z Uniwersytetu Wrocławskiego czy Śląskiego. Długo współpracował też z naukowcami związanymi z uczelnią krakowską.

Z kolei przedstawiciele władz UMCS wielokrotnie podnosili zasługi jakie wniósł w tworzenie Wydziału Politologii UMCS. Prof. Olszewski podkreślił, że prof. Baszkiewicz zawsze służył pomocą i radą pracownikom wydziału, współpracując z nimi jako konsultant programów badań i dydaktyki, a także jako wykładowca.

Nie są to pierwsze wyróżnienia przyznane profesorowi; był on już wcześniej dwukrotnie uhonorowany tytułami doktora honoris causa: w 2003 r. godność tę nadał mu Senat Uniwersytetu Wrocławskiego, a w 2005 r. władze Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

Prof. H. Woźniakowski doktorem honorowym Uniwersytetu w Jenie

KATARZYNA ZAGRAJEK-ŁUKASZEWSKA, BIURO PRASOWE UW



Prof. H. Woźniakowski w towarzystwie prof. K. Dicke oraz prof. W. Rossaka, fot. Uniwersytet w Jenie

6 czerwca 2008 roku prof. Henryk Woźniakowski został uhonorowany tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu im. Fryderyka Schillera w Jenie (Turyngia), na wniosek tamtejszego Wydziału Matematyki i Informatyki. Niemiecka uczelnia chciała tym samym uhonorować ogromny wkład prof. Woźniakowskiego w rozwój takich dziedzin matematyki jak analiza numeryczna, a w szczególności teoria złożoności obliczeniowej zadań ciągłych. Dodatkowym wyróżnieniem dla profesora jest fakt, że Uniwersytet w Jenie, który obchodzi w tym roku 450-lecie istnienia, nadał w całej swej historii tytuł doktora honoris causa jedynie czterem matematykom.

Profesor Woźniakowski ukończył w 1969 roku matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, w 1972 uzyskał tytuł doktora, a w 1976 obronił rozprawę habilitacyjną. W 1981 roku został wybrany dziekanem Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW. W tym samym roku Senat Uniwersytetu Warszawskiego wystąpił o nadanie mu tytułu profesorskiego. Jednak ze względów politycznych – aktywnej działalności w „Solidarności” – nominacja była wstrzymana aż do 1988 roku.

Od 1969 roku do dnia dzisiejszego prof. Woźniakowski pracuje w Zakładzie Analizy Numerycznej Instytutu Matematyki Stosowanej i Mechaniki WMIM UW. Od 1984 roku jest też profesorem na Wydziale Informatyki Columbia University w Nowym Jorku.

W grudniu ubiegłego roku Polska Akademia Nauk powołała prof. Woźniakowskiego na członka korespondenta Wydziału III

Nauk Matematycznych, Fizycznych i Chemicznych. Jest również członkiem korespondentem Wydziału III Nauk Matematycznych i Fizycznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

W 2005 roku prof. Woźniakowski otrzymał bardzo prestiżową nagrodę naukową niemieckiej Fundacji Aleksandra von Humboldta, dzięki której rok akademicki 2006/2007 spędził na Uniwersytecie w Jenie, pracując z prof. Erichem Novakiem nad książką „Tractability of Multivariate Problems”, którego pierwszy tom został opublikowany przez European Mathematical Society we wrześniu 2008 r. Nagrodę naukową Humboldta otrzymują wyróżniający się naukowcy, spoza Niemiec, których badania, teorie lub odkrycia miały znaczący wpływ na rozwój danej dyscypliny naukowej.

Dwa zagadnienia zajmują w pracach badawczych prof. Woźniakowskiego szczególne miejsce. Jest uznawany, wraz z prof. Josephem Traubem z Columbia University, za jednego z twórców teorii złożoności obliczeniowej problemów ciągłych (Information-Based Complexity, zwaną również Complexity Theory for Continuous Problems). Druga kwestia, której poświęcił ostatnie 15 lat swych badań, to pytanie o warunki rozwiązywalności w czasie niewykładniczym zadań wielowymiarowych. Jego publikacje dotyczą jednak także wielu innych zagadnień matematycznych, jak np.: teorii liczb, algebry liniowej, teorii aproksymacji, analizy Fouriera, analizy funkcji, teorii prawdopodobieństwa oraz teorii obliczeń kwantowych. Jak podkreślił w laudacji wygłoszonej podczas uroczystości w Jenie promotor honorowego doktoratu prof. Novak: – Jest bardzo niewiele matematyków o tak wszechstronnych zainteresowaniach.

Metody pracy naukowej prof. Woźniakowskiego wzbudzają wielki szacunek wśród innych naukowców. – Co czyni pracę Henryka fascynującą? Sądzę, że dwa aspekty. Po pierwsze upór, z jakim po raz kolejny stawia to samo pytanie: Jakże są optymalne

algorytmy do opisu procesów ciągłych. (...) Druga kwestia to jego cierpliwość, ciekawość oraz wytrwałość z jaką szczegółowo bada poszczególne zagadnienia. Musi przy tym przestudiować i przyswoić wiedzę z wielu działów matematyki – podkreślił w laudacji prof. Novak.

Prof. Woźniakowski jest autorem blisko 150 opracowań z zakresu matematyki. Do najważniejszych jego prac należy zaliczyć trzy rozprawy: „A General Theory of Optimal Algorithms” (1980), napisaną we współpracy z prof. Josephem Traubem, „Information, Uncertainty, Complexity” (1983) oraz „Information-Based Complexity” (1988) przygotowane z prof. Traubem oraz prof. Grzegorzem Wasilkowskim (University of Kentucky, USA).

Prof. Novak zwrócił też szczególną uwagę na trzy artykuły prof. Woźniakowskiego, które odbiły się najszerzym echem w środowisku i były ponad 300-krotnie cytowane w publikacjach innych naukowców: „Average Case Complexity of Multivariate Integration” (1991), „Explicit Cost Bounds of Algorithms for Multivariate Tensor Product Problems” (1995) napisany z prof. Wasilkowskim, „When are Quasi-Monte Carlo Algorithms Efficient for High Dimensional Integrals?” (1998) powstały we współpracy z prof. Ianem Sloanem (New South Wales University w Sydney, Australia).

W czerwcowej uroczystości nadania prof. Woźniakowskiemu tytułu doktora honoris causa wzięli udział m.in. rektor Uniwersytetu w Jenie – prof. Klaus Dicke oraz dziekan Wydziału Matematyki i Informatyki prof. Wilhelm Rossak. Prof. Woźniakowski wygłosił wykład „Złożoność jako nowe wyzwanie dla matematyków”. Referaty zaprezentowali także długoletni współpracownicy profesora – prof. Traub streścił historię teorii złożoności obliczeniowej, natomiast prof. Ian Sloan przybliżył zgromadzonym zagadnienie wielowymiarowości zadań.

Zapytany o wrażenia z uroczystości prof. Woźniakowski przyznaje, że czuje się doceniony: – Cieszę się, że moja wieloletnia praca nad złożonością obliczeniową zadań ciągłych została zauważona i uhonorowana tytułem doktora honoris causa. Mam też nadzieję, że uroczystości związane z tym tytułem zwiększą liczbę osób, a szczególnie studentów zainteresowanych tematyką złożoności obliczeniowej zadań ciągłych – podkreśla profesor.

O znaczeniu jednostki

- tytuł doktora honoris causa dla dr. Eckarta Hiena

KATARZYNA ZAGRAJEK-ŁUKASZEWSKA, BIURO PRASOWE UW



Prof. Wojciech Tygielski, prorektor UW oraz dr Eckart Hien, fot. Biuro Promocji UW

17 czerwca 2008 r. dr Eckart Hien, wybitny znawca prawa administracyjnego, były prezes Federalnego Sądu Administracyjnego RFN odebrał z rąk prof. Wojciecha Tygielskiego, prorektora UW dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł został przyznany dr. Hienowi na mocy uchwały Senatu UW z dnia 21 maja 2008 r., na wniosek Wydziału Prawa i Administracji UW.

Dr Eckart Hien rozpoczął swą karierę od pracy urzędnika administracyjnego w Bawarii. Następnie pełnił funkcję sędziego administracyjnego landu. Szybko jego kariera przeniosła się ze szczebla lokalnego na federalny. Jej zwieńczeniem było pełnienie w latach 2002-2007 funkcji prezesa Federalnego Sądu Administracyjnego RFN. Długoletnia praca w administracji ukształtowała poglądy dr. Hiena na funkcjonowanie państwa. – W naszym prawniczym środowisku z wielkim zainteresowaniem i uznaniem śledziliśmy postulaty budowy sprawnej i inteligentnej administracji, mogącej stać się efektywnym elementem funkcjonowania demokratycznego państwa prawa – podkreślił prof. Tadeusz Tomaszewski, dziekan WPIA UW, w swym wystąpieniu podczas czerwcowej uroczystości. Dodał także, że przekonania dr. Hiena powinny być wskazówką w toczącej się obecnie w Polsce dyskusji dotyczącej kształtu administracji państwowej. Zasada centralnego znaczenia jednostki w systemie prawnym, która od zawsze przyświeca dr. Hienowi wynika zdaniami z jego osobowości.

Dr Hien jest osobą niezwykle otwartą na świat i ludzi, ma szerokie pozaprawnicze zainteresowania – pasjonuje się m.in. zagadnieniami ewolucji biologicznej oraz entomologią.

Aktywność zawodowa nie przeszkodziła dr. Hienowi w intensywnej pracy naukowej. Jest autorem ponad 50 publikacji z zakresu ochrony praw człowieka i obywatela, sądownictwa administracyjnego i administracji państwa oraz ustawodawstwa komunalnego. Wszystkie jego prace cieszą się w środowisku dużym uznaniem. – Jest niezwykle istotne, że poglądy i głos E. Hiena są wysłuchiwanie z uwagą i powagą przez władze krajowe i federalne nawet wtedy, kiedy oceny jego i komentarze są niezwykle krytyczne wobec projektodawców – podkreślił jeden z recenzentów dorobku naukowego doktora prof. Zbigniew Witkowski (UMK). Na szczególną uwagę zdaniem specjalistów zasługują komentarze dr. Hiena do orzecznictwa sądów administracyjnych z zakresu m.in. prawa budowlanego oraz prawa zagospodarowania i planowania przestrzennego.

Dr Hien wniósł również doniosły wkład w działalność Stowarzyszenia Rad Stanu i Naczelnych Sądów Administracyjnych Unii Europejskiej. Przyczynił się do nadania mu precyzyjnych form organizacyjnych, a pod jego przewodnictwem stowarzyszenie zaczęło działać na rzecz efektywniejszego stosowania prawa europejskiego poprzez budowę systemu wymiany informacji. Szczególnie dużą rolę

odegrał dr Hien w zbliżeniu stowarzyszenia z nowymi państwami członkowskimi Unii Europejskiej, przyczyniając się tym samym do procesu integracji europejskiej. – W okresie kierowania przez E. Hiena stowarzyszeniem nastąpił (...) wzrost znaczenia sądownictwa administracyjnego w państwach członkowskich, z jednoczesnym podkreśleniem konieczności zachowania różnorodności rozwiązań organizacyjnych sądownictwa administracyjnego w Europie – podkreślił w laudacji promotor doktoratu honorowego, prof. Janusz Trzciniński, prezes NSA oraz obecny przewodniczący Stowarzyszenia Rad Stanu i Naczelnych Sądów Administracyjnych.

Nieoceniony jest wkład dr. Hiena w nawiązanie współpracy pomiędzy polskimi i niemieckimi sądami administracyjnymi, której efektem były liczne seminaria, konferencje, warsztaty oraz wizyty studyjne polskich sędziów w Niemczech. Doszło również do podpisania kilkunastu umów o współpracy merytorycznej pomiędzy poszczególnymi sądami administracyjnymi obu państw. – Szczególnego podkreślenia wymagają ścisłe związki dr. E. Hiena z Polską. Należy wskazać na owocne i częste kontakty niemieckich i polskich sądów administracyjnych oraz sędziów tych sądów. Dynamiczny rozwój tych kontaktów to wielka zasługa dr. E. Hiena – napisał w swej recenzji prof. Jerzy Stelmasiak (UMCS).

Sam dr Hien, w przemówieniu wygłoszonym po odebraniu dyplomu, odwołał się do swych związków z naszym krajem. Podkreślił, że Polska zawsze miała duży udział w rozwoju prawa administracyjnego oraz integracji europejskiej, czyli spraw szczególnie mu bliskich. Już w 1831 r. Polak, Wojciech Bogumił Jastrzębowski sformułował w pracy „O wiecznym pokoju między narodami” projekt pierwszej w historii konstytucji zjednoczonej Europy. Dzisiejsza Unia Europejska urzeczywistniająca idee europejskiej integracji, jeśli chce działać sprawnie i rozwijać się musi, zdaniem Hiena, opierać się na solidnych podstawach, czyli dobrym prawie.

Na zakończenie dr Hien pozwolił sobie na bardziej osobistą uwagę. Przyznał, że zwiedzanie Warszawy po raz kolejny przypomniło mu o niezwykle bolesnym rozdziale polsko-niemieckiej historii, który napawa go głębokim wstydem. – Świadomy tła historycznego, jestem jako Niemiec, niezwykle wdzięczny za wyróżnienie mnie doktoratem honorowym Uniwersytetu Warszawskiego – dodał nie kryjąc wzruszenia.

W wysokich Andach i na pustynnym wybrzeżu Oceanu

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL, BIURO PRASOWE UW



Maucallacta, widok od strony zachodniej, fot. M. Sobczyk

Uniwersyteccy archeolodzy pracujący w Ameryce Południowej mają w tym roku wiele powodów do radości. Uplywa 30 lat od momentu rozpoczęcia pierwszych prac w Andach oraz 20 lat od chwili utworzenia Andyjskiej Misji Archeologicznej, poprzedniczki obecnego Ośrodka Badań Prekolumbijskich UW, pierwszej tego rodzaju placówki badawczej w Polsce i jednej z niewielu w Europie. Zespół cieszy się coraz większym uznaniem międzynarodowym, czego wyrazem jest zaproszenie go do badań na dwóch stanowiskach z listy Dziedzictwa Światowego UNESCO: Tiahuanaco w Boliwii i Machu Picchu w Peru. Wyniki ich badań z sezonu na sezon są coraz bardziej imponujące.

Zapisywanie białych plam

Projekt Condesuyos prowadzony w rejonie Peru o tej samej nazwie jest – jak większość projektów Ośrodka Badań Preko-

lumbijskich – projektem dwustronnym. Ze strony polskiej grupą naukowców kieruje prof. Mariusz Ziółkowski, kierownik Ośrodka Badań Prekolumbijskich UW, a ze strony peruwiańskiej dr Luis Augusto Belan Franco z Katolickiego Uniwersytetu Najświętszej Marii Panny w Arequipie. Badania prowadzone są na ogromnym terenie – 2,5 tys. km². – Ze świecą można szukać ekipy archeologów, którzy „mają dla siebie” taki obszar w Europie, może już prędzej w Azji czy Afryce – mówi Ziółkowski. Dlatego, jak podkreśla archeolog, skala wykopalsk jest tu zupełnie inna niż w Europie. Mało tego; pewne części Peru – tak w wysokich Andach jak i nad Pacyfikiem – to białe plamy na mapach archeologicznych. Na wybrzeżu ostatnie z nich są właśnie zapisywane przez naszych archeologów. – Dolina, w której prowadzimy badania była ostatnim nierozpoznanym miejscem na wybrzeżu. Nasze prace musieliśmy rozpocząć od pod-

staw: od rozpoznania terenu, przez wykopaliska, aż do stworzenia dokładnej mapy doliny, a nawet wyznaczenia ścieżek dla turystów – wyjaśnia dr Miłosz Giersz, który od 2002 r. wraz ze swoją żoną Patrycją Prządką-Giersz kieruje projektem Valle de Culebras. Badania – podobnie jak projekt Condesuyos – są prowadzone we współpracy z partnerską uczelnią w Peru. W tym przypadku z Pontyfikalnym Uniwersytetem Katolickim w Limie, gdzie dziekanem Wydziału Humanistycznego jest prof. Krzysztof Makowski, absolwent i były pracownik Instytutu Archeologii UW.

Mimo że dla badaczy pewne regiony Ameryki Południowej były nieznane, nie oznacza to, że nikt nie miał o nich pojęcia. Najczęściej obiekty badań archeologów były wcześniej znane miejscowym gospodarzom, którzy nierzadko wypasali swoje zwierzęta czy uprawiali polećka między pozostałościami budowli sprzed wieków. – Tak właśnie było

z Machu Picchu, zanim Hiram Bingham został do niego doprowadzony przez miejscowego rolnika – dodaje z uśmiechem profesor. – Nasza praca nie polega więc na odnajdywaniu miejsc, o których nikt nie miał pojęcia, lecz na odkrywaniu ich dla nauki. A to oznacza z kolei, że wszystkie znaleziska musimy dokładnie zbadać, zadokumentować i udostępnić swoje wyniki innym, a nie tylko znaleźć się w czołówce wiadomości agencyjnych – tłumaczy badacz. – Atmosfera sensacji nie sprzyja badaniom, obliczonym z góry na wiele lat cierpliwej, często nieco monotonnej pracy. Jesteśmy naukowcami, a nie towarzyszami Indiany Jonesa. Choć filmy z tej serii zapewne przyczyniły się do wzrostu liczby kandydatów na studia archeologiczne – żartuje.

Andyjska układanka

Jeszcze przed rozpoczęciem wykopalisk, aby dowiedzieć się jak najwięcej o terenie badań, archeolodzy korzystali z kronik z XVI w. To w nich Hiszpanie, Metysi i Indianie opisywali ówczesnie istniejącą i funkcjonującą infrastrukturę państwa Inków. Dzięki zapisom było wiadomo, że wulkany Coropuna i Solimana były świętymi górami, a ośrodki zbudowane w ich okolicy były włączone w sieć sanktuariów Imperium, co z kolei przyciągało inwestycje państwowe. Wiadomo też było, że sanktuaria dysponowały ogromnymi dobrami: polami uprawnymi, stadami lam i domami wybranych kobiet (acclahuasi), które były połączeniem klasztorów i manufaktur. To właśnie w nich wytwarzane były „dobra strategiczne” – tkaniny i piwo kukurydziane – którymi Inkowie wynagradzali swych poddanych za pracę na rzecz Imperium. – Problem polegał na tym, że trzeba było odnaleźć i sprawdzić, co zachowało się z rzeczy opisanych przez kronikarzy – mówi Ziółkowski.

Do tej pory polsko-peruwiański zespół archeologów odnalazł aż 18 ośrodków, zbudowanych w całości przez Inków lub przez nich przebudowanych. I tu zaczęła się układanka, prawdziwe archeologiczne puzzle. Trzeba było ustalić sieć zależności między poszczególnymi stanowiskami. Teraz już wiadomo, że pewne z nich pełniły role wyspecjalizowanych satelitów, a najważniejszym ośrod-

kiem skupiającym inwestycje państwowe, działalność religijną i funkcje administracyjne była Maucallacta. – W zasadzie już od dawna wiadano, że takie centrum musi się gdzieś znajdować, ale do 1997 r. nie było wiadomo, gdzie – mówi profesor. – Maucallactę pobieżnie opisał na początku lat 80. minionego stulecia arequipeński archeolog dr Eloy Linares Malaga. Nie zwrócił jednak uwagi na jej wyjątkowy charakter – był tam bowiem tylko jeden dzień. Stanowisko było mocno zarośnięte, niektóre budynki ledwo widoczne – tłumaczy. Nie dziwi więc, że naukowcy mają tam pełne ręce roboty.

Maucallacta leży w południowych Andach peruwiańskich (dystrykt Pampacolca, prowincja Castilla, departament Arequipa) i znajduje się na wysokości 3 700 m n.p.m. Jest to numer 1 projektu Condesuyos. To tam archeolodzy angażują najwięcej czasu i sił. Tam też wykorzystywane są największe dotacje Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego RP. Pracami kieruje tandem polsko-peruwiański: Maciej Sobczyk z OBP UW oraz peruwiański architekt i konserwator zabytków, Gonzalo Presbitero Rodriguez. Ze stanowiska widać najgłębszy na świecie, słynny kanion Colca, zdobyty przez grupę kajakerzy z ekspedycji Canoandes, zorganizowanej przez studentów z Krakowa. Kanion w tej chwili jest ogromną atrakcją turystyczną, a już wkrótce swoje tajemnice przed zwiedzającymi odsłoni Maucallacta. – Czekać tam na nich będzie ponad 200 budynków, z których niektóre zachowane są do ponad 4 m wysokości, olbrzymia platforma ceremonialna, na której palono ofiary dla świętej góry, miejsce, w którym znajdowała się wyrocznia, za pośrednictwem której bóstwo komunikowało swoje decyzje i przewspaniały pejzaż – wymienia jednym tchem Ziółkowski. Maucallacta była sanktuarium państwowym i stolicą administracyjną IV części imperium Inków. To tu znajdowała się wyrocznia, którą można porównać do greckich Delf. Do Maucallacta przybywali liczni pielgrzymi, by modlić się o pomyślność wypraw wojennych i urodzajne zbiorów. Aby przebłagać bóstwo świętej góry składali liczne ofiary – najczęściej ze zwierząt (świnek morskich, alpak, lam), ale też z liści

koki, piwa, naczyń. Gdy intencja była szczególnie ważna w ofierze składano dzieci wywodzące się z najszlachetniejszych rodów.

Kapłan skuteczniejszy od żołnierza

Wiadomo, że Maucallacta miała niewielu stałych mieszkańców, byli to przede wszystkim kapłani i urzędnicy. Prawdopodobnie mieszkali tam również mamaconas, czyli wspomniane wcześniej wybrane kobiety. Z okazji ważnych uroczystości państwowych przybywały do Maucallacta jednak tysiące pielgrzymów. Rezydowali w czymś na kształt dzisiejszych hoteli, tzw. kallankach. Odkryte ruiny pozwoliły stwierdzić, że był to duży (59x11 m) budynek bardzo wysokiej rangi. Pielgrzymi spotykali się w czasie uroczystości na trzech platformach ceremonialnych dostosowanych do naturalnego wzgórza. Największa z nich – dolna – ma wymiary 150x50 m. Jest to najstarszy podest. Starszy niż osadnictwo inkaskie w tym miejscu. – Z naszych badań wynika, że powstała co najmniej kilka wieków przed przybyciem Inków. Nadal czekamy na wyniki analiz, które pozwolą nam dokładnie ustalić, która kultura przedinkaska ją zbudowała – mówi Ziółkowski. To odkrycie potwierdza informacje ze wspomnianych źródeł historycznych na temat tego, jak administracja Inków „radziła sobie” z zarządzaniem opanowanymi terenami, bez kosztownej kontroli wojskowej. Inkowie byli w swoich poczynaniach bardzo podobni do Rzymian: pozwalali na kult lokalnych bóstw, pod warunkiem uznania wyższości swoich własnych. Gdy wszystko szło po ich myśli władcy inkasy rozpoczynali inwestycje państwowe, organizowali święta i obdarowywali miejscowe elity, tym sposobem umacniając ich więzi z aparatem państwowym. – Zaadaptowanie znanego i cieszącego się uznaniem ludności miejsca kultu, było zręcznym wybiegiem mającym na celu kontrolę lokalnych społeczności na terenie imperium. W gruncie rzeczy było to bardzo efektywne i stosunkowo bezkonfliktowe zarządzanie. Wszyscy mieli jednak świadomość, że w razie buntu, porządek zaprowadzi inkaska armia. Nieprzypadkowo inkaski arcykapłan był głównodowodzącym imperialnej armii.



Stanowisko Ten Ten w dolinie rzeki Culebras, fot. M. Giersz



*Droga na stanowisko archeologiczne na stokach wulkanu Coropuna,
fot. K. Bielatowicz/ National Geographic Polska/ visavis.pl*

Na pustynnym wybrzeżu Oceanu

Ameryka Południowa kojarzy się przede wszystkim z dziką dżunglą Amazonii, gęstymi zaroślami i egzotycznymi zwierzętami hałasującymi całą dobę. Okazuje się jednak, że naukowcy zajmują się tam archeologią obszarów pustynnych. – Nasza grupa prowadzi wykopaliska w dolinie, gdzie krajobraz jest taki, jak w Egipcie czy Sudanie – mówi Giersz. Co kilkadziesiąt kilometrów pustynię przecinają rzeki okresowe, które w porze suchej zanikają, przekształcając się w podziemne strumienie. Wybijają one czasami na środku pustyni, gdzie pojawiają się oazy zupełnie dzikiej przyrody. – To sprawia niesamowite wrażenie: na środku pustyni jest dziki busz, do którego trzeba wejść z maczetą. I nagle stoi się w dżungli, po kolana wbagnie, a 300 m w każdą stronę znajduje się już pustynia – opowiada z pasją archeolog. Giersz nie ukrywa, że krajobraz w okolicach doliny całkowicie go urzekł. I nie można się temu w najmniejszym stopniu dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że lewy brzeg rzeki to pustynia piaszczysta, a prawy – skalista. W samej dolinie jest prawie 200 stanowisk archeologicznych. Jeszcze kilka lat temu stanowisk było o połowę mniej. Teraz ich liczba się podwoiła i wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas będzie wzrastać. Zdarza się bowiem, że podczas kolejnego sezonu badacze odkrywają ruiny, do tej pory zakryte piaskiem wydmy. Dolina Culebras jest prawdziwym rajem dla archeologów Ameryki Południowej, ponieważ można w niej odnaleźć ślady osadnictwa z różnych okresów prehistorii andyjskiej. – Mamy tam więc ślady osadnictwa datowane nawet na 9 tys. lat p.n.e., a pierwsze osady, w których możemy odnaleźć fragmenty zachowanej architektury pochodzą z okresu 2500 do 1800 r. p.n.e. Ostatnie z kolei pochodzą z okresu wczesnej konkwisty. Wszystko to może przyprawić o zawrót głowy – opowiada Giersz. Polsko-peruwiański zespół

badający dolinę rzeki Culebras przyjął rzadkie w Ameryce Południowej podejście do wykopalisk. Archeolodzy badają dolinę całościowo, na przestrzeni wieków i nie zawężają swoich prac do wybranego okresu czy stanowiska. Takie podejście umożliwia poznanie dziejów i przemian terenu oraz weryfikację przyjętych wcześniej poglądów.

Na granicach kultur

Dr Giersz specjalizuje się w badaniach kultury Moche, która jest jedną z najważniejszych poznanych prekolumbijskich kultur Ameryki Południowej. Rozwijała się od około 100 do 800 r. n.e. To właśnie członkowie tej społeczności są autorami królewskich grobowców w Sipán i jednych z największych na świecie budowli architektonicznych wykonanych z suszonej na słońcu cegły mułowej. Dotychczas powszechny był pogląd, że obszar, gdzie Giersz prowadzi badania, nie był pod bezpośrednim wpływem kultury Moche. – Fragmenty ceramiki czy inne przedmioty traktowano do tej pory jako „przedmioty z importu”, a ślady bytności członków kultury Moche, jako efekt wypraw handlowych – wyjaśnia Giersz. Wykopaliska wykazały, że obszar, który badał w trakcie pracy nad rozprawą doktorską, był najdalej wysuniętą na południe prowincją państwa Moche, zaopatrzoną w bardzo dobrze zorganizowaną sieć osadniczą i rozwinięty system uprawy roli. – Mało tego. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odnaleźliśmy jedyny w swoim rodzaju kompleks pałacowy. Odkrycie potwierdza to moje wcześniejsze hipotezy, że w dolinie Culebras znajdował się lokalny ośrodek władzy kultury Moche – mówi archeolog. Delegowani tam byli członkowie najwyższych elit, których zadaniem była bezpośrednia kontrola południowych rubierzy państwa. O wysokim pochodzeniu społecznym lokalnych władców świadczą też częściowo zachowane

wany grobowiec. – Co prawda dostali się do niego rabusie, ale niewiele zrabowali – tłumaczy naukowiec. Dzięki cierpliwości archeologów udało się większość przedmiotów zrekonstruować i teraz już wiadomo, że są one unikalne. – To skarby o prawdziwie niespotykanej klasie, ozdoby ze złota i złoconej miedzi, napierśniki z egzotycznych muszli i półszlachetnych kamieni, misternie wykonane naczynia ceremonialne. Jedyne porównywalne z tymi pochodzą właśnie z Sipán – podkreśla Giersz. Dodatkowe analizy radiowęglowe dowodzą, że w dolinie mamy do czynienia z bardzo wczesnym etapem rozwoju kultury Moche. A to stoi w sprzeczności ze wszystkimi wcześniejszymi hipotezami. – Okazało się, że badania w naszej dolinie nie tylko pozwalają na zapisanie białych plam, ale zmuszają nas do przesuwania ustalonych granic – mówi archeolog. – Robimy wszystko, co w naszej mocy aby „napłatać” w głowach innych badaczy – żartuje.

Nawet na krok w zmienianiu utartych poglądów swojemu mężowi nie ustępuje Patrycja Prządka-Giersz. Prowadzone przez nią wykopaliska pozwoliły odkryć w samym centrum doliny ogromny kompleks architektury monumentalnej, rozpościerający się na obszarze ponad 1 km². – Mamy tam okazję badać dwa pałace lokalnych władców oraz bardzo duży obszar przeznaczony do celów ceremonialnych, magazyny, zabudowania mieszkalne, zagrody dla łam – opowiada badaczka. – Wszystko to pochodzi z okresu od ok. 1000 roku n.e. aż do podboju hiszpańskiego. Nie jest wykluczone, że to właśnie w tej dolinie było centrum administracyjne regionu. Choć w bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się dużo większa dolina Huarmey, wygląda na to, że spełniała ona rolę wielkich terenów uprawnych i swoistej strefy buforowej chroniącej centrum. – Do chwili obecnej udało nam się przejść od archeologii jednego stanowiska do archeologii całej doliny. W kolejnych sezonach, wraz z naszym peruwiańskim partnerem planujemy rozpoczęcie wspólnych badań wykopaliskowych w sąsiednich, dużo większych od Culebras dolinach. To będzie bardzo duże przedsięwzięcie, które pozwoli nam na pełniejsze zrozumienie skomplikowanych procesów zachodzących w pradziejach badanego mikroregionu – mówią Gierszowie.

„Inżynierze, kupi pan to?”

Nasi badacze pracują w Andach już 11. sezon. W tym czasie byli skupieni nie tylko na wykopaliskach, ale również na poprawie stosunków z lokalnymi mieszkańcami. – Wiele czasu zajęło nam przekonanie ich, że nie jesteśmy poszukiwaczami złota, że nie wywozimy żadnych skarbów – wspomina prof. Ziolkowski. Z rozbawieniem przywołuje historie, kiedy ich stanowiska odwiedzał komendant miejscowej policji z kilkoma podkomendnymi. Gdy przełożony wesoło gawędził z archeologami, jego podwładni szybko podnosili plandeki i zagladali do skrzyń. Kiedy się upewnili, że wśród eksponatów są – bez-

wartościowe z ich punktu widzenia – naczynia, odchodzili uspokojeni. Tak samo powolny był proces przekonywania miejscowych, że eksponaty archeologiczne mają wartość tylko wtedy, gdy archeolodzy znajdą je sami, w miejscu, gdzie zostały przed wiekami złożone. – Wielokrotnie spotkała mnie sytuacja, gdy przychodził do mnie jakiś miejscowy gospodarz, wyciągał z zawiniątka naczynia a czasami też ludzką czaszkę sprzed kilkuset lat i pytał konspiracyjnym tonem: „Inżynierze – to tytuł jakim miejscowi określają wszystkich specjalistów, bez względu na zawód – kupi pan to?” Byli zawsze bardzo zdziwieni, gdy mówiłem, że teraz ta czaszka nie ma żadnej wartości, nie jest już interesująca z punktu widzenia badacza i że jej nie kupię – opowiada Ziółkowski. W końcu udało się przekonywać miejscową społeczność, że badacze nie mają złych zamiarów i jest pewne, że turyści już niebawem przyjadą oglądać niesamowite odkrycia naszych archeologów. Lokalna społeczność zaangażowała się bardzo silnie w przygotowanie okolicy do potrzeb turystów, przeznaczając na ten cel własne oszczędności. – To bardzo ważne, że mieszkańcy postrzegają ruch turystyczny jako motor rozwoju regionu. Wszak wiele miejsc przyciąga turystów właśnie zabytkami sprzed wieków – dodaje. Na ten rok zostało zaplanowane otwarcie Maucallacta i okolic dla turystów. W tej chwili prowadzone są prace mające na celu wyznaczenie ścieżek, po których będą poruszać się zwiedzający. Zanim przyjadą tam goście trzeba będzie jeszcze wykarczować krzaki, oczyścić teren i zrekonstruować część budynków. Ten ostatni element przygotowań dotyczyć będzie zaledwie kilku procent zabudowań – tylko tych, co do wyglądu których archeolodzy mają absolutną pewność. – Nie można przecież odbudowywać czegoś według własnego „widzimi się” – mówi Ziółkowski. Potem pozostanie już tylko przekonanie wycieczkowiczów, że do Maucallacta przyjechać warto.

Trochę inaczej stosunki z miejscowymi wyglądają na wybrzeżu, gdzie prace prowadzi Gierszowie, choć i tutaj na początku miejscowa ludność była wobec nich nieufna. – W górach jednak ta podejrzliwość jest znacznie większa. Nadal zdarza się, że chłopcy wierzą w pishtaku, czyli obcego mężczyznę, który morduje Indian – mówi Patrycja Prządka-Giersz. Na wybrzeżu problem ten nie jest aż tak wyraźny. Wynika to między innymi z procesów migracyjnych, jakie zachodzą w Peru: wiele osób przenosi się ze wsi w góry do wielkich miast, a przede wszystkim do 8-milionowej Limy. Naturalną trasą ich podróży jest autostrada panamerykańska, biegnąca wzdłuż wybrzeża. Tam obcokrajowcy, choć czasami miejscowi wciąż

patrzą na nich podejrzliwie, są traktowani bardziej przychylnie. – W tej chwili już zaprzyjaźniliśmy się z naszymi gospodarzami. Kiedy przyjeżdżamy, pytają czemu nas tak długo nie było, opowiadają, co się zmieniło. W zasadzie wtopiliśmy się w otoczenie – mówi Giersz. – Czasami tylko jakiś przyjezdny robotnik zapuszcza się na tereny naszych wykopaliś i szuka śladów tego mitycznego złota, które według plotek mieliśmy wywieźć – opowiada archeolog.

W poszukiwaniu drugiej wyroczni

Od początku badań w Andach wiadomo było, że świętymi górami były dwa wulkany: Coropuna i Solimana. Centrum administracyjno-religijnym pierwszego z nich była oczywiście wspaniała Maucallacta. Od 2002 r. zespół archeologów poszukiwał jej odpowiednika na stokach wulkanu Coropuna. W czasie prospekcji terenu naukowcy znaleźli wiele niezadokumentowanych wcześniej stanowisk. – Dwa z nich były bardzo interesujące. Pierwsze to Minticocha, gdzie odkryliśmy platformę ceremonialną i budynki świadczące o tym, że miejsce to należało do inkaskiej sieci administracyjnej. Jednak na ewentualne główne sanktuarium drugiej góry i wyrocznię było stanowczo za małe – opowiada Ziółkowski. Do drugiego interesującego miejsca w Allisuyuq, badacze doprowadzili miejscowi pasterze. Archeolodzy odkryli tam ponad 60 dobrze zachowanych budynków, plac ceremonialny. – Było jasne, że dotarliśmy do ważnego centrum. Ale znowu coś się nie zgadzało: gdzie te inkaskie budynki świątynne, o których mówił XVI-wieczny kronikarz Cristóbal de Albornoz? – mówi archeolog. Po pięciu

sezonach poszukiwań ostatnim niezbadanym miejscem został południowy stok wulkanu – najtrudniejszy do zdobycia, pozbawiony dróg, jedynie z wąskimi ścieżkami dla mulów. I ponownie z nieocenioną pomocą przyszli lokalni mieszkańcy, którzy w czasie przypadkowego spotkania wysoko w górach na wieść, że napotkali się archeologami wykrzyknęli: – To świetnie się składa! Właśnie chcieliśmy, żeby ktoś zainteresował się ruinami Muyu Muyu, niedaleko naszej wioski. To inkaskie mury – dodali – znacznie większe od Allisuyuq, które wy już ponoć znacie. Oczywiście badacze poszli za miejscowymi, a samo zejście do wybranego punktu zajęło im ponad pięć godzin. – Było jednak warto – podkreśla profesor. Muyu Muyu okazało się tym, czego jego grupa szukała od dawna: monumentalna eliptyczna platforma ceremonialna, z kamieniami murami zachowanymi do wysokości ok. 4,5–5 m. Jednak to nie wszystko: na szczycie platformy, w gęszczu zarośli, widoczne są dobrze zachowane mury prostokątnych budynków, a u jej stóp, wśród starannie rozplanowanych tarasów, rozrzucone doskonale obrobione kamienie. – Nie ma wątpliwości – to przykłady inkaskiej kamieniarki najwyższej jakości. Do tego dochodzi szczególny plan założenia, czyli elipsa – tłumaczy Ziółkowski. – Wszystkie znane dotychczas budowle inkaskie o tym planie, jak np. słynna Ingapirca w Ekwadorze, były świątyniami najwyższej rangi w skali Imperium. Tak więc chyba wreszcie trafiliśmy na główne sanktuarium Solimany – mówi. W przyszłym roku archeolodzy zamierzają wrócić do Muyu Muyu, co będzie prawdziwym wyzwaniem, ponieważ droga w dół doliny, do szosy, okazała się jeszcze trudniejsza od tej, którą zeszli z grani.



Dr Miłosz Giersz i Patrycja Prządka-Giersz, fot. M. Słomczyński

Polscy archeolodzy w ruinach zoroastryjskiej świątyni ognia

BARBARA KAIM



Świątynia ognia w Mele Hairam, fot. M. Wagner

Religia zoroastryjska jest jedną z najstarszych wyznawanych po dzień dzisiejszy religii mono-teistycznych, której główne zasady znamy dzięki zachowanym księgom Awesty, spisany prawdopodobnie w VI wieku oraz pismom religijnym, które powstały w IX-XI wieku. Nie ma natomiast wśród badaczy tej religii jednomyślności w kwestii czasu, kiedy żył i działał prorok i reformator religii dawnych Irańczyków, Zoroaster (Zaratusztra). Rozbieżności są znaczne – połowa II tysiąclecia p.n.e., według niektórych, bądź dopiero VI wiek p.n.e., według innych. Nie ulega jednak wątpliwości, że od początku bardzo ważną rolę w tej religii odgrywał ogień jako pośrednik między światem bogów i światem ludzi. Już w starożytności nazywano Irańczyków „czcicielami ognia”, a jeszcze dziś święte ognie płoną w, nielicznych już co prawda, świątyniach na terenie Iranu, Indii a nawet Stanów Zjednoczonych Ameryki.

O ile współczesne budowle świątynne i rytuały religijne są dość dobrze znane, nasza wiedza o świątyniach starożytnych jest ciągle jeszcze znikoma. Starożytne źródła pisane nie opisują architektury tego typu budowli, nie ma w nich też opisów rytuałów, choć wspominają, że zwyczaj budowy świątyń ognia był bardzo rozpowszechniony w Iranie, szczególnie w czasach panowania dynastii Sasanidów, czyli w III-VII wieku. Nic więc dziwnego, że każde nowe odkrycie budzi wielkie zainteresowanie i nadzieję na uzupełnienie tej luki.

Misja archeologiczna Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego od dziesięciu lat prowadzi badania w ruinach zoroastryjskiej świątyni ognia na stanowisku Mele Hairam, w pobliżu miasteczka Serach, w południowym Turkmenistanie. W wyniku tych prac możliwa jest dziś rekonstrukcja planu budowli składającej się z jedenastu

pomieszczeń, z których część pełniła funkcję kultową. Świątynia została zbudowana w I wieku naszej ery, w czasach panowania dynastii Arsakidów, i funkcjonowała jeszcze w V wieku, czyli w czasach panowania dynastii sasanidzkiej. Trzeba tutaj pokreślić, że wśród nielicznych odkrytych przez archeologów starożytnych świątyń, świątynia w Mele Hairam jest najlepiej zachowana. Pozwala to, przynajmniej w niektórych przypadkach, stwierdzić, czy obserwowany we współczesnych świątyniach rytuał jest różny od rytuału starożytnego.

Główne wejście do najważniejszego pomieszczenia świątyni prowadziło przez niewielki dziedziniec, na którym znajdowała się głęboka na 8 m studnia. Religia zoroastryjska wymaga od wiernych nie tylko czystości moralnej, ale też i tej fizycznej – czystości ciała i odzieży. Dlatego przed przystąpieniem



Główne pomieszczenie świątyni z pozostałościami ołtarza, fot. B. Kaim

do modlitw, wierni powinni dokonać rytualnego obmycia. Odkryta w Mele Hairam studnia była prawdopodobnie źródłem czystej wody niezbędnej do tych celów, jak i do sprawowania niektórych rytuałów. Po wykonaniu tej czynności wierni mogli przejść do dużej prostokątnej sali (7,5 na 5,2 m), której ściany zdobiły niegdyś wielobarwne malowidła przedstawiające prawdopodobnie fundatorów świątyni. To tutaj, w czasie wielkich świąt gromadzili się zapewne wierni, nie mając jednak dostępu do pomieszczenia, w którym na wysokim, wykonanym z gliny ołtarzu płonął ogień. Wejście do tej sali zagrażdzała gliniana platforma, której jeden z boków zdobił wykonany w stiuku relief przedstawiający powtarzający się trzykrotnie motyw węzła uzupełniony stylizowanymi palmami. To trzykrotne powtórzenie motywu miało prawdopodobnie przypomnieć podsta-

wową maksymę religii zoroastryjskiej: dobre myśli, dobre słowa, dobre czyny.

Najważniejszym miejscem świątyni była wspomniana już sala, pośrodku której w trakcie wykopalisk znaleziono pozostałości zbudowanego z gliny ołtarza. Jego trzon, przypominający kształtem klepsydrę, podtrzymywał niegdyś glinianą płytę, na której płonął ogień. Do sali tej mogli wejść tylko kapłani, którzy pięć razy dziennie, recytując modlitwy i fragmenty ksiąg Awesty „karmili” ogień suchym, nie dającym dymu drewnem. Najwyraźniej jedynym źródłem światła w tej części świątyni był płonący na ołtarzu ogień i ogień lampki oliwnej umieszczonej w małej niszy.

Tak jak we współczesnych świątyniach, czynności niezwiązane bezpośrednio z kultem ognia, nie mogły być wykonywane w pobliżu ołtarza ognia. W świątyni w Mele Hairam, tuż za salą ognia, odkryto niewielkie

pomieszczenie, które zapewne pełniło funkcję *yazīšn gāh*, czyli miejsca kultu, pomieszczenia, w którym we współczesnych świątyniach mają miejsce sprawowane przez kapłanów różnorodne ceremonie religijne. W Mele Hairam, na podłodze tego pomieszczenia znajdowało się gliniane podwyższenie przykryte białym gipsem. To na nim stawiano zapewne naczynia i przedmioty używane podczas ceremonii, wymagających obecności ognia, który rozpalano na glinianej platformie stojącej przed głęboką niszą w ścianie północnej pomieszczenia.

Pośród pomieszczeń kultowych budowli odkrytej w Mele Hairam, jedno nie znajduje analogii ani w innych świątyniach starożytnych, ani we współczesnych. Chodzi o małą, znajdującą się na północ od pomieszczenia z ołtarzem ognia, salkę wyposażoną jedynie w niewielkie podium, na którym stał gliniany piec, wypełniony jeszcze w momencie odkrycia jasnymi delikatnymi popiołami. Kolor popiołów świadczy o tym, że zgodnie z wymogami rytuału, ogień płonął tutaj powoli, podsycany suchym drewnem. Nie wiadomo jednak, jakie miał on znaczenie, choć jego kultowy charakter zdaje się nie ulegać wątpliwości. Tutaj również dostęp mieli jedynie kapłani, pomieszczenie zresztą jest zbyt małe by pomieścić więcej osób i kończy ciąg pomieszczeń prowadzących od strony północnej do sali z ołtarzem.

Pomieszczenia odkryte na południowym boku budowli, które nie mają bezpośredniej komunikacji z salą ognia, prawdopodobnie nie były wykorzystywane w celach związanych z kultem. Tutaj natomiast znaleziono kilka ciekawych zabytków, rzucających zupełnie nowe światło na sztukę okresu późnopartyjskiego, odmienną od tej reprezentowanej przez słynne rytony z Nisy, bo pozbawianą wpływów sztuki greckiej. Przykładem może być plakietka z kości słoniowej, stanowiąca niegdyś prawdopodobnie fragment rytonu, dekorowana przedstawieniem konnego jeźdźcy.

Sporą sensację stanowi też architektura budowli a szczególnie rodzaj zaobserwowanych sklepień. Salę z ołtarzem przykrywała kopuła, a ponieważ budowę świątyni datuje się na I-II wiek, jest to najwcześniejszy przykład zastosowania tego typu konstrukcji na dawnych ziemiach irańskich. Podobnie jest w przypadku tromp zaobserwowanych w ruinach jednego z pomieszczeń południowych. Do tej pory uznawano, że zarówno trompy jak i kopuły pojawiają się w architekturze irańskiej dopiero w początkach III wieku, dzięki odkryciom w Mele Hairam możemy tę datę przesunąć o co najmniej wiek wstecz.



Fragment dekoracji stiukowej platformy zagrażdżającej wejście do sali z ołtarzem ognia, fot. B. Kaim

Prof. dr hab. Barbara Kaim jest kierownikiem Zakład Archeologii Bliskiego Wschodu Instytutu Archeologii UW oraz szefem Polskiej Misji Archeologicznej w Iranie i Azji Środkowej.

Miasto Afrodyty

HENRYK MEYZA, MARZENA MARKOWSKA



Widok na Willę Tezeusza i Dom Aiona, fot. W. Jerke

W dniach 2 – 30 czerwca 2008 r., w Galerii Muzeum UW w Pałacu Kazimierzowskim odbyła się wystawa prezentująca osiągnięcia Polskiej Misji Archeologicznej w Nea Pafos w czasie, gdy jej kierownikiem był prof. Wiktor Andrzej Daszewski z Instytutu Archeologii UW. Zwiedzający mogli podziwiać fotogramy z ponad 40 lat badań, większość autorstwa prof. Daszewskiego, oraz powiększenia, niekiedy niemal do wielkości naturalnej, mozaik i innych dzieł sztuki. Zobaczyć też można było kopię rzeźby przedstawiającej Asklepiosa z wężem Glykonem. Warto z tej okazji przypomnieć historię tych badań oraz zaprezentować najważniejsze zabytki z Pafos, które stanowią o wyjątkowości tego stanowiska.

Misja archeologiczna Uniwersytetu Warszawskiego od 1965 r. prowadzi badania nad pozostałościami głównego miasta Cypru w okresach hellenistycznym i rzymskim. Polskie wykopaliska obejmują reprezentacyjną część starożytnego miasta. Badania zainicjował prof. Kazimierz Michałowski, ale od 1966 r. faktycznym kierownikiem misji był prof. Wiktor Andrzej Daszewski. Funkcję tę pełnił do 2008 r. W uznaniu jego zasług nadano mu tytuł honorowego obywatela Pafos. Pod jego kierownictwem misja opubli-

kowała 5 tomów dotyczących polskich wykopalisk w Pafos w serii wydawanej przez Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN.

Nea Pafos jest stanowiskiem wielokulturowym, pierwsze ślady osadnictwa datuje się na końcową fazę epoki brązu. Najbardziej znane są oczywiście rzymskie i hellenistyczne pozostałości miasta, które narodziło się na nowo (stąd jego hellenistyczna nazwa Nea Pafos) w okresie ptolemejskim. Miasto hellenistyczne powstało 15 km na zachód od starego ośrodka, z którym łączyła je droga procesyjna. Znaczenie swe, jako jednego z głównych portów Ptolemeusza, Nea Pafos zawdzięcza głównie korzystnej lokalizacji nad brzegiem dosyć urwistym, by umożliwić fortyfikację, ale nie na tyle, by niemożliwa była budowa przystani, zdolnej przyjmować nawet wielkie okręty. Lasy na terenie górskiego zaplecza Pafos oraz złoża miedzi zapewniały dostęp do strategicznych surowców, przede wszystkim budulca na okręty, którego brak było w Egipcie. Wszystko to, w połączeniu z nowoczesnym układem urbanistycznym, zadecydowało o sukcesie miasta.

W okresie rzymskim Pafos pełniło prawdopodobnie funkcję stolicy prowincji. Jedną ze wskazówek dostarcza gemma legionu XV Apollinaris, znaleziona na terenie późniejszego pałacu tzw. Willi Tezeusza. Taki znak pieczętny trafić mógł tylko do miejsca

stacjonowania dowództwa legionu. Stało się to zapewne wtedy, gdy legion ten, pierwotnie stacjonujący w Pannonii (ob. Węgry) został przeniesiony do Aleksandrii przed wybuchem powstania żydowskiego za Nerona.

Po trzęsieniach ziemi w IV w. n.e. stolica prowincji została przeniesiona do Salaminy, której nazwę zmieniono na Constantia. Przekaz Dziejów Apostolskich o biczowaniu w Pafos przywiązanego do kolumny św. Pawła, przyciągał pielgrzymów, tak więc Pafos stało się na szereg stuleci ośrodkiem kultu chrześcijańskiego – wzniesiono tam wielką bazylikę (Chrysopolitissa) oraz szereg innych kościołów.

Dom Hellenistyczny

Najstarszym odkrytym przez polską misję kompleksem budowli jest tzw. Dom Hellenistyczny, który zajmuje znaczną część kwartału wyznaczonego przez siatkę ulic. Budynek ten miał dwa dziedzińce kolumnowe i wielką salę recepcyjną. Dekoracja zespołu zachowała się częściowo, wielki kapitel koryncki sugeruje, że budowla powstała już w końcu II w. p.n.e.

Obecnie odbudowano fragment wschodniego portyku głównego dziedzińca Domu Hellenistycznego. Stojące na dziedzińcach cysterny zbierały wodę z dachów. Do wielkiej cysterny pod zachodnim dziedzińcem wchodziło po schodach, przez przykryty pły-



Mozaika z Domu Rzymskiego przedstawiająca Afrodytę zbrojną, fot. W. Jerke

tami, kamiennymi korytarz. Końcowy stan głównego dziedzińca, z kolumnadami w różnych stylach i wielką salą z mozaiką z kamienia łamanego po stronie zachodniej datuje się dopiero na I w. p.n.e. Mozaika, o wymiarach 11,43 x 6,55m, jest największą pochodzącą z tego okresu na Cyprze. Jeszcze później powstał dodatkowy zbiornik w południowo-wschodnim narożniku, zasilający ogród na dziedzińcu. W tym czasie w narożniku południowo-zachodnim składano ofiary całopalne na ołtarzu, wokół którego układano wota w postaci terakotowych figurek i lampek.

Dom Hellenistyczny nie przetrwał trzęsienia ziemi w 126 r. n.e. Najprawdopodobniej ta faza zniszczeń spowodowała przekształcenie południowo-zachodniej części budowli w tzw. Dom Rzymski i ozdobienie podłóg mozaikami Afrodyty zbrojnej i Horai, czyli greckich pór roku.

Willi Tezeusza

Trzęsienie ziemi, które położyło kres istnieniu Domu Hellenistycznego, stworzyło warunki do powstania najbardziej monumentalnego budynku, jaki odkrył prof. Daszewski – tzw. Willi Tezeusza, o charakterze pałacowym. Nazwa pochodzi od znalezionej tam pięknej mozaiki, powstałej w III w. n.e. a przerobionej w IV w., przedstawiającej mitycznego herosa zabijającego Minotaura w labiryncie.

Budowla ta od początku została wzniesiona bez poszanowania pierwotnego układu urbanistycznego, zajmując w II w. n.e. co najmniej dwa kwartały, a po rozbudowie w IV w. aż sześć. Budowle rzymskie, jeśli nawet przekraczały kwartały wyznaczone przez hellenistyczną siatkę urbanistyczną, utrzymywały jednak ten sam kierunek murów. Najpierw wzniesiono jedno skrzydło, potem, w wyniku rozbudowy, powstał obiekt z dziedzińcem pośrodku. W tej późniejszej fazie przybrał on plan prostokąta o bokach 120 x 80 m.

Badacze wyróżnili w obrębie Willi Tezeusza dwie części o odmiennych funkcjach: jedną o charakterze publicznym, drugą – prywatnym. Każdej z tych części towarzyszył ogród. Zdobily je również liczne rzeźby odkrywane w obrębie Willi. Jedną z nich był zapewne Asklepios z jajkiem.

Fragmentaryczna inskrypcja znaleziona w ruinach J[N DIVI PR[I]M PORTICI B] wskazuje na oficjalny charakter budynku. Budynek zawierający w skrzydle południowym szereg sal reprezentacyjnych, ściany i podłogi najważniejszych pokryte były importowanym marmurem i malowidłami. Posadzki dodatkowo zdobiono mozaikami, z których najlepiej zachowała się powstała w V w. n.e. mozaika pokazująca kąpiel Achillesa w wodach Styksu. Ściany budowli zachowały się miejscami do wysokości 150 cm.

Dom Aiona

Obok pałacu inną ważną budowlą z epoki późnorzymskiej jest tak zwany Dom Aiona



Mozaika z tridinium z Domu Aiona, fot. W. Jerke

dekorowany wspaniałymi mozaikami. Jest to nietypowa budowla, której najważniejsze pomieszczenie: sala biesiadna (triclinium) dostępna jest niemal bezpośrednio z ulicy. Układ przestrzenny i sceny wyobrażone na podłogach i ścianach wskazują, że była to siedziba pogańskiego stowarzyszenia. W IV w. n.e. pogaństwo jeszcze nie ustępowało na tych terenach chrześcijaństwu. Odkopane w Domu Aiona mozaiki i malowidła odnoszą się do kultu Dionizosa i Apollina, powiązanego z filozoficzną refleksją nad jednostką i jej życiem. Ówczesni mieszkańcy Pafos wierzyli, że zbawienie można osiągać także w pogaństwie. Takie rozumienie religii było odmienne od tradycyjnego kultu będącego publicznym demonstrowaniem związku ze społeczeństwem i jego strukturą polityczną. Dzieła sztuki służyły jako instrument propagandy. Ich analiza jest bardzo trudna – dogłębne studium znaczenia niezwykle skomplikowanego przekazu mozaiki triclinium Domu Aiona jest zasługą prof. Daszewskiego. Wielka mozaika jest precyzyjnie datowana dzięki znalezieniu w podkładzie monety Licyniusza z 323 r. Trzęsienie ziemi zniszczyło ją częściowo na przeło-

mie IV i V w., została naprawiona w V w. Jedną z sąsiednich sal ozdobiły malowane na ścianach wyobrażenia Apollina z muzami.

Dzieła sztuki

Innym tematem studiowanym przez prof. Daszewskiego były rzeźby, których szereg znaleziono na terenie Willi Tezeusza. Rzeźby, wykonane w różnych stylach, przedstawiały bóstwa grecko-rzymskie. Zgromadzono je głównie w skrzydle zachodnim, zapewne w celu przerobienia na wapno. Niezwykłym znaleziskiem jest rzeźba przedstawiająca Afrodytę z mieczem. Uzbrojenie bogini to ślad bardzo starych, specyficznie cypryjskich wierzeń, sięgających epoki brązu, zapamiętanych jeszcze w późnej starożytności w tekstach leksykografów. Afrodyta zbrojna z mozaiki w tzw. Domu Rzymskim, jest z kolei zbrojna we włócznię. Ciekawym obiektem, który można było m. in. podziwiać na wystawie, jest także niewielki świetnie zachowany posąg Asklepiosa, który łączy kult tego boga i boga-węża Glykona.

Dr Henryk Meyza jest pracownikiem Zakładu Archeologii Śródziemnomorskiej PAN; od 2008 r. kieruje pracami polskiej misji wykopaliskowej na Cyprze. Marzena Markowska jest absolwentką Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. W maju-czerwcu br. brała udział w wykopaliskach na stanowisku Nea Pafos.

Czy jadłeś już dzisiaj DNA?

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL, BIURO PRASOWE UW



Prof. Ewa Bartnik, fot. M. Mutor/AG

O genetyce mówi się co najmniej na dwa – całkowicie różne od siebie – sposoby. Istnieje obóz bardzo głośno mówiący, że genetyka to mieszanie się w sprawy boskie, a inżynieria genetyczna jest zbyt daleko posuniętą ingerencją w organizm ludzki. Jest też druga frakcja, której członkowie wierzą w to, że genetyka jest ratunkiem na wszystko i że właśnie dzięki niej będziemy żyć wiecznie. Jednak na sprawę należy spojrzeć trzeźwo i oddzielić – jak się popularnie mówi – fakty od mitów. I tym też w swojej działalności popularyzatorskiej kieruje się prof. Ewa Bartnik, genetyk z Instytutu Genetyki i Biotechnologii Wydziału Biologii UW. – Z rozumieniem genetyki jest jak z rozumieniem zasad działania samochodów. Jeśli podetniemy hamulce lub spuścimy olej z auta pewne skutki będą widoczne, ale nie oznacza to, że będziemy wiedzieli jak jest zbudowany silnik – mówi

z uśmiechem Bartnik. – Tak samo jest z genami. To, że wiemy jakie są skutki mutacji jednego genu, nie oznacza, że rozumiemy całość.

Mamo, co zrobiłaś tej marchewce?

Genetically modified organism (GMO), czyli genetycznie modyfikowane organizmy są przedmiotem szerokiej dyskusji. Powszechne są lęki dotyczące tego, w jaki sposób GMO będą wpływały na zdrowie nasze oraz naszych dzieci. I czy przypadkiem nie jesteśmy na drodze prowadzącej nieuchronnie w stronę wojny klonów i innych pomysłów rodem z filmów science fiction. Wiele tego typu pytań Bartnik słyszy od dziennikarzy niemal codziennie. Zawsze robi to ze spokojem, cierpliwością i uśmiechem. Ale ma też bardzo dużo dystansu do całej – jak to sama nazywa – awantury o GMO. I wie, że od genetyki już nie uciek-

nie, nie tylko w pracy ale i w domu. Z rozbawieniem opowiada o tym, jak po zakupach w warzywniaku na widok fioletowych kalafiorów, dziwnych marchewek czy nienaturalnie wielkich czereśni rodzina pyta ją „mamo, co ty im zrobiłaś?”.

– Tak naprawdę najważniejsze jest trzeźwe podejście do sprawy i poukładanie wszystkiego w logiczną całość. A to czego nam brakuje to wiedza podstawowa, choćby taka, że marchewka z babcinego pola też ma DNA. I jabłko ze sklepu ze zdrową żywnością też. DNA jest wszędzie. – mówi Bartnik. Jej zdaniem przyczyny lęków związanych z GMO tkwią w niewłaściwie prowadzonym nauczaniu biologii w gimnazjach i liceach, gdzie czas na omawianie spraw istotnych dla człowieka jest pod koniec edukacji szkolnej. Wcześniej nauczyciele mówią o tym, jak rozmnażają się ryby i jaka jest różnica między zwierzętami parzy-

sto- i nieparzystokopytnymi. – Mało mówią o fizjologii człowieka, o tym co nas otacza, o tym co jest w żywych organizmach – mówi Bartnik. Nie jest to problem typowo polski. Badania Eurobarometru pokazują bowiem, że niemal 60% Europejczyków boi się genetycznie modyfikowanej żywności. Taki sam odsetek mieszkańców UE, nie wie, że DNA występuje w każdym rodzaju jedzenia. – I jest oczywiste, że ci, którzy nie wiedzą, że w marchewce jest DNA będą bali się GMO, bo tam DNA jest na pewno. I na pewno zrobi nam coś strasznego, na przykład nas wszystkich zje – żartuje Bartnik.

Więcej czereśni w czereśni

W rzeczywistości z modyfikacjami genetycznymi mamy do czynienia na co dzień. I to od bardzo dawna. Wiele osób zapyta „ale jak to?”. A okazuje się, że genetycznie modyfikowany jest nawet pomidor. Piękne, soczyste, czerwone pomidory, na które akurat teraz jest urodzaj, nie od razu były takie, jakimi je znamy. – Przez wiele lat były odpowiednio krzyżowane: najpierw pomidorowi dodano słodycz, później kolor, następnie wielkość – tłumaczy genetyk. Tak samo ma się sprawa z truskawkami, które tak naprawdę są genetycznie zmodyfikowanymi poziomkami. Jedyna różnica jest taka, że poziomka zmutowała się samorzutnie, a przy GMO genetyk musi już trochę pomajstrować. Jednak zmiany dokonywane na roślinach nie mają nic wspólnego z dodawaniem obcych genów. Rośliny same z siebie mają dwa zestawy chromosomów, ale przy niewielkiej ingerencji genetyków, ich liczbę można pomnożyć, dzięki czemu wyrastają większe. Im więcej chromosomów tym większe jabłka, maliny, czy czereśnie. – Genetycznie modyfikowana czereśnia ma jedynie więcej swoich własnych chromosomów. Nie ma w niej nic obcego, nic dodat-

nik. Niewiele osób też zdaje sobie sprawę, że GMO mają w szafach – bawełna wykorzystywana do produkcji koszulek, spodni czy bielizny też jest genetycznie modyfikowana.

Kolejna sprawa, którą należy wyjaśnić to ewentualny wpływ GMO na geny nasze i geny naszych przyszłych potomków. – Geny z pożywienia w żaden sposób nie łączą się z naszymi. Nie ma takiej możliwości – mówi Bartnik. – Proszę pamiętać, że lubię i dlatego często jadam wieprzowinę, a zakrecony ogonek jeszcze mi nie wyrósł – dodaje rozbawiona. Tak samo jak do naszych własnych komórek DNA z pokarmów nie przenika do komórek naszych dzieci poprzez komórki rozrodcze. Nie ma w związku z tym możliwości, żeby genetycznie zmodyfikowana marchewka w jakikolwiek sposób zaszkodziła nam lub naszemu potomstwu. Na dowód wystarczy wspomnieć o szczeniach lub insuliny, których znakomita większość jest produkowana przez genetycznie modyfikowane bakterie. I mimo że to efekt pracy GMO, są nam bardzo przydatne.

Gen cię nie odchudzi

Niedoskonała edukacja z zakresu biologii jest z pewnością źródłem nie tylko lęków związanych z genetycznymi modyfikacjami żywności, ale pytań – kompletnie niezwiązanych z genetyką – jakie bezustannie są stawiane. Jedno z nich, które pojawia się w zasadzie w każdej rozmowie, dotyczy nieśmiertelności. – My, genetycy, sami jesteśmy temu winni. Nieustająco odkrywamy nowe geny na „coś”: na inteligencję, na choroby, na starzenie. Przez to powstał fałszywy obraz, który mówi, że jeśli znajdziemy odpowiedni gen i trochę przy nim „pokombinujemy”, to będziemy wiecznie młodzi – mówi Bartnik. Tymczasem proces starzenia się jest bardzo złożony i nie ma za dużo wspólnego z genetyką jako taką. Oczywiście genetyka ma

mysz staje się bardzo szybko otyła. Jest tak dlatego, że leptyna koordynuje dwie funkcje organizmu: ruch i skłonność zjadania pokarmu. Zmutowany gen poprzez wpływ na wytwarzanie leptyny prowadzi do tego, że mysz robi się bardzo tłusta, niechętnie się rusza, je dużo więcej niż normalnie. Ten sam gen występuje też u ludzi. I też może ulec podobnej mutacji, ale dotychczas udowodniono, że otyłość zaledwie dwóch osób na całym świecie wynika właśnie z tej mutacji. U większości ludzi otyłość ma niewiele wspólnego z genetyką, za to bardzo dużo z aktywnością fizyczną danej osoby oraz z ilością zjadanych ciastek. – I o tym właśnie trzeba wiedzieć. Chociaż, sama świadomość nie wystarczy, bo przecież żaden naród nie jest tak świadomy, jak Amerykanie. Ale też żaden nie jest tak otyły – mówi Bartnik.

Co może genetyk

Genetyka może za to wiele zdziałać w przypadku mutacji genów, które odpowiadają za pewne choroby, np. za fenylketonurię. Polega ona na braku możliwości przemiany jednego z aminokwasów, a to prowadzi do bardzo poważnych uszkodzeń układu nerwowego. – Kiedyś urodzenie się z fenylketonurią było równoznaczne z upośledzeniem umysłowym. Teraz chorzy mogą żyć w całkowicie normalny sposób, mieć rodziny, uczyć się, pracować. Gdyby nie genetyka byłoby upośledzonymi umysłowo osobami – mówi Bartnik. Dzięki badaniom genetyków wiadomo, że chorobę tę leczy się wyjątkowo łatwo: poprzez stosowanie odpowiedniej diety. Chodzi po prostu o dostarczanie pokarmów z minimalną zawartością niepożądanego aminokwasu. W takiej diecie nie można jeść na przykład mięsa i pić mleka krowiego.

Dzięki wysiłkom genetyków łatwiej dostępna jest też insulina. Jak już było wspomniane obecnie jej znakomita większość jest wytwarzana przez odpowiednio przygotowane do tego bakterie, a nie jak dawniej ze zwierzęcych trzustek (wołowych i wieprzowych). Bakteriom wszczepia się gen ludzkiej insuliny, dzięki czemu zaczynają ją syntetyzować. Po oczyszczeniu trafia ona do aptek, a później do chorych. Warto też wiedzieć, że to właśnie insulina była pierwszym lekiem dopuszczonym do produkcji właśnie metodami inżynierii genetycznej. – Insulina to też my – mówi Bartnik. – Jednak na początku bakterie genetycznie modyfikowane budziły bardzo powszechne obawy. Bano się ich w tym samym stopniu, jak teraz obawiamy się genetycznie modyfikowanej żywności.

Nie zawsze jednak choroby genetyczne da się tak łatwo poskromić. Często są one silniejsze od naukowców. Jednak zawsze genetycy mają głos doradcy ponieważ, poznanie genów i ich właściwości pomaga w diagnozowaniu i leczeniu różnych chorób. – Poznanie genów i ich działania prawdopodobnie nie uczyni nas wiecznie młodymi, ale na pewno pozwoli rozpracować pewne mechanizmy i znaleźć lekarstwo na niektóre choroby – tłumaczy Bartnik.

Pomidorowe geny pochodzą od:

- *L. esculentum cerasiforme* - oporność na grzyby, temperaturę, wilgotność
- *L. peruvianum* - zwiększenie ilości wit. C, oporność na wiele szkodników
- *L. pimpinellifolium* - kolor, słodycz, więcej witamin i soli mineralnych
- *L. cheesmani* - oporność na zasolenie
- *L. cheesmani* - oporność na suszę
- *L. pennellii* - oporność na suszę
- *L. parviflorum* - kolor, słodycz
- *L. hirsutum* - oporność na choroby

kowego, a jedynie pomnożono to, co już w niej jest. Dlatego też taka czereśnia nie może mi w żaden sposób zaszkodzić. Powiem nawet więcej: będzie zdrowsza od tej, którą spryskiwano różnymi chemikaliami – mówi Bart-

nik. Niewiele osób też zdaje sobie sprawę, że GMO mają w szafach – bawełna wykorzystywana do produkcji koszulek, spodni czy bielizny też jest genetycznie modyfikowana. Kolejna sprawa, którą należy wyjaśnić to ewentualny wpływ GMO na geny nasze i geny naszych przyszłych potomków. – Geny z pożywienia w żaden sposób nie łączą się z naszymi. Nie ma takiej możliwości – mówi Bartnik. – Proszę pamiętać, że lubię i dlatego często jadam wieprzowinę, a zakrecony ogonek jeszcze mi nie wyrósł – dodaje rozbawiona. Tak samo jak do naszych własnych komórek DNA z pokarmów nie przenika do komórek naszych dzieci poprzez komórki rozrodcze. Nie ma w związku z tym możliwości, żeby genetycznie zmodyfikowana marchewka w jakikolwiek sposób zaszkodziła nam lub naszemu potomstwu. Na dowód wystarczy wspomnieć o szczeniach lub insuliny, których znakomita większość jest produkowana przez genetycznie modyfikowane bakterie. I mimo że to efekt pracy GMO, są nam bardzo przydatne.

Chociaż w mediach pojawiają się co jakiś czas doniesienia o odkryciu genu odpowiedzialnego za otyłość, tak naprawdę genetyk ma niewielkie pole działania w zwalczaniu tej przypadłości. Odkryto już bowiem, że jeśli w organizmie myszy mutacji podda się gen odpowiedzialny za produkcję jednego z białek, tzw. leptyny,

Na ratunek rajskim wyspom

ANNA KORZEKWA, RZECZNIK PRASOWY UW

Kilka lat temu stacja BBC poprosiła swoich widzów o wskazanie miejsca na Ziemi, które koniecznie chcieliby zobaczyć przed śmiercią. Jednym z najczęściej wymienianych zakątków świata, były leżące na Oceanie Spokojnym, niecałe tysiąc kilometrów na zachód od Ekwadoru, wyspy Galapagos. Aż 97 proc. powierzchni wysp, zwanych też Żółwimi (po hiszpańsku *galapago* znaczy żółw), to teren parku narodowego, wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Pierwsza zorganizowana grupa turystów dotarła tu w 1967 roku, na pokładzie amerykańskiego statku *Navarino*. Przez kilka następnych lat liczba tych, którzy przyjeżdżali oglądać stuletnie żółwie słoniowe, głupaki niebieskonogie i legwany morskie oraz by poczuć się wręcz integralną częścią tego niepowtarzalnego ekosystemu, rosła powoli. Prawdziwy wzrost ruchu turystycznego rozpoczął się w połowie lat 70. minionego stulecia. Przyjeżdżają tu głównie Amerykanie i Brytyjczycy. Lepsze warunki życia i wyższe pensje przyciągają też z kontynentu tysiące Ekwadorczyków. W ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba gości odwiedzających wyspy każdego roku zwiększyła się z 7.500 do ponad 120.000. I to właśnie zwiększony ruch turystyczny i dynamiczny wzrost populacji są dziś największym zagrożeniem dla tego rajskiego miejsca.

Rafael Correa, prezydent Ekwadoru zapowiedział w zeszłym roku podjęcie działań „służących przezwyciężeniu wielkiego kryzysu ekologicznego i społecznego na terenie wysp”. Władze próbują ograniczyć napływ turystów. Zamierzają także przeprowadzić spis ludności. Znacząca część populacji mieszka tu bowiem nielegalnie.

Na stałe ochroną środowiska na Galapagos i troską o zrównoważony rozwój archipelagu zajmuje się dyrekcja parku narodowego. Pracują tu również Amerykanie. W Puerto Ayora prowadzą Stację badawczą im. Karola Darwina. Szansę na współpracę z nimi mają jednak tylko te grupy naukowców, które stać na poważne zaangażowanie finansowe. – Stacja przyjmuje tylko badaczy, którzy przyjeżdżają z gotowymi projektami o wartości pół miliona – miliona dolarów – mówi prof. Mirosława Czerny, dyrektor Instytutu Studiów Regionalnych i Globalnych UW, która od trzydziestu lat zajmuje się w swoich badaniach Ameryką Łacińską. Dyrekcja parku narodowego do tej pory nie podejmowała współpracy z innymi jednostkami naukowo-badawczymi. – Naukowcy z Ameryki Łacińskiej nie do końca wierzą

w czyste intencje tych, którzy taką współpracę oferują – mówi prof. Czerny. – Moi latynoscy koledzy zawsze podkreślają, że gdy przyjeżdżają naukowcy z krajów wysoko rozwiniętych, to nie zawsze chcą współpracować z miejscowymi badaczami i często nie traktują ich jak poważnych partnerów – dodaje profesor. Inaczej jest z Polakami. Kontakty między naukowcami z UW i badaczami latinoamerykańskimi zawsze opierały się na wzajemnej współpracy. – Kiedy prowadzimy badania terenowe, prowadzimy je wspólnie. Gdy wydajemy czasopisma i książki, to na równi traktujemy partnera latynoskiego i polskiego – mówi.

To właśnie dzięki dobrej opinii, jaką cieszą się nasi naukowcy w całym regionie, już niedługo studenci, doktoranci i pracownicy uniwersytetu będą mieli szansę prowadzenia badań na Galapagos. W czerwcu tego roku prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW podpisała umowę o współpracy z Sixto Naranjo, dyrektorem parku narodowego. – Dyrekcja parku liczy na to, że współpraca z naszą uczelnią pomoże wyspom w utrzymaniu się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ja zaś mam nadzieję, że współpraca z parkiem narodowym wzmocni także pozycję uniwersytetu – mówi rektor UW. – Mamy szansę na pokazanie swoich umiejętności badawczych i możliwość prowadzenia badań w regionie, w którym inne instytucje mają tę szansę ograniczoną – dodaje prof. Czerny. I porównuje możliwość prowadzenia badań na archipelagu z sytuacją na Kubie sprzed kilkudziesięciu lat. Profesor Andrzej Dembicz, który dziś kieruje Centrum Studiów Latinoamerykańskich UW, uzyskał wówczas zezwolenie władz kubańskich na prowadzenie badań przez naukowców z UW. – W latach 70. i w pierwszej połowie lat. 80, jako jedyni, prowadziliśmy badania terenowe na Kubie. Nasze publikacje były więc jedynymi wówczas dostępnymi publikacjami na jej temat na świecie. Byliśmy wszędzie cytowani – mówi profesor Czerny.

Pracownicy parku narodowego Galapagos wezmą udział we wspólnych badaniach z naukowcami z UW, udostępnią swoje laboratoria i zapewnią zakwaterowanie. Ważne dziś dla parku narodowego tematy, to np. ewolucja, ale też kwestie społeczne, choćby dotyczące tego jak park ma funkcjonować, będąc obszarem chronionym, a jednocześnie przyjmując turystów. Na wyspach badania mogą więc prowadzić nie tylko geografowie i biolodzy. Jest tu również miejsce dla specjalistów od zarządzania, socjologów i antro-

pologów. Dla naukowców z Galapagos, Uniwersytet Warszawski może stanowić arenę, na której mogliby propagować formy ochrony środowiska i apelować o ochronę miejsc zagrożonych. Nowo wybrany dyrektor parku narodowego Galapagos odwiedzi UW już w listopadzie br. Wiosną 2009 r. na UW odbędzie się też konferencja, której celem będzie zwrócenie uwagi całego świata naukowego na zagrożenia, jakie grożą tym i innym, unikalnym miejscom.

W czasie czwartej wizyty w Ekwadorze rektor UW podpisała także umowę z najlepszą tamtejszą uczelnią, Papieskim Uniwersytetem Katolickim Ekwadoru oraz z Uniwersyteciem w Cuenca. Wspólne badania naukowców z UW i katolickiej uczelni będą dotyczyć ekologii i rozwoju zrównoważonego. – W przyszłym roku zorganizujemy wyjazd studentów i doktorantów do Amazonii. Do tych regionów, które są zagrożone ekspansją turystyczną i w których można prowadzić badania przyrodnicze i społeczne – opowiada profesor Czerny. Współpraca z Uniwersyteciem w Cuenca będzie dotyczyć demografii i badań miejskich.

Uniwersytet Warszawski otrzymuje liczne propozycje współpracy z uczelnią z całego świata. Kontakty z państwami Ameryki Południowej i Środkowej (obok kontaktów z państwami azjatyckimi) rozwijają się najbardziej dynamicznie.

W Peru prowadzą wykopaliska nasi archeologowie (więcej na ten temat w artykule: „W wysokich Andach i na pustynnym wybrzeżu Oceanu”, str. 18), rozwija się też współpraca z Chile i Argentyną. W ubiegłym roku bardzo ożywiły się też kontakty z Meksykiem. Uniwersytet odnowił umowę z Uniwersyteciem Autonomicznym Stanu Meksyk w Toluca, z którym współpracuje od trzydziestu lat, organizując m.in. co dwa lata sympozja polsko-meksykańskie. Naukowcy z obu uczelni wspólnie poprowadzą też badania terenowe w municypiach (gminach) stanu Meksyk. Podobne badania prowadzili tam 25 lat temu. Wspólnie z Autonomicznym Uniwersyteciem Meksyku – Xochimilco prowadzone będą badania wielkich miast. Włączenie się do badań w małych jednostkach osadniczych we wschodnim Meksyku zaproponował naukowcom z UW także Instytut Badań nad Indianami (CIESAS).

W przyszłym roku Wydział Geografii i Studiów Regionalnych UW planuje też otwarcie studiów na kierunku gospodarka przestrzenna prowadzonych po hiszpańsku. Głównym adresem tych studiów są młodzi ludzie z Ameryki Łacińskiej.

Przez fizykę do piękna

KATARZYNA ZAGRAJEK-ŁUKASZEWSKA, BIURO PRASOWE UW

Żupełnie inny konkurs

Od 4 lat na Wydziale Fizyki UW organizowany jest konkurs dla młodzieży „Poszukiwanie Talentów”. Pierwszy raz zorganizowano go w roku 2005, który na całym świecie ogłoszono „Rokiem Fizyki”. Ta edycja miała charakter międzynarodowy, trzy kolejne krajowy.

Konkursów fizycznych dla młodzieży jest wiele – konkursy wojewódzkie, Lwiątko, ogólnopolska Olimpiada. Karolina Włach, licealistka z Cieszyńska i jedna z tegorocznych laureatek, na pytanie czym „Poszukiwanie talentów” różni się od innych konkursów odpowiada prosto: – Właściwie wszystkim.

Odmienny jest już chyba sam cel konkursu, którym nie jest proste sprawdzenie wiedzy. Jak mówi dr Anna Kaczorowska z Zakładu Dydaktyki Fizyki UW, przewodnicząca komitetu organizacyjnego konkursu, celem uczestnictwa jest zdobycie wiedzy a przy okazji dostrzeżenie fizyki w otaczającym nas świecie. – Chodzi o to, żeby młody człowiek dostrzegł piękno świata i widział w nim harmonię, jaką narzuca fizyka – podkreśla dr Kaczorowska.

Od antymaterii po tomografię

Na pierwszy rzut oka regulamin konkursu może onieśmielać przeciętnego ucznia. Każdy z uczestników nadsyła od kilkunastu do kilkudziesięciu prac – esejów, opowiadań, limeryków, wywiadów, zdjęć, filmów, plakatów, znaczków pocztowych, rysunków, opisów doświadczeń, projektów gier dla dzieci.... Ważne jest jednak to, że młody człowiek sam decyduje jaką formę pracy wybierze i jakie zagadnienie fizyczne zaprezentuje. Za każdą pracę można dostać 1 lub 2 punkty. Jeśli uczestnik zgromadzi 10 punktów otrzyma dyplom oraz odznakę „Złoty Kwint”. Najlepsi gromadzą z reguły kilkadziesiąt punktów, oznacza to przygotowanie kilkudziesięciu pojedynczych prac. Dla prawdziwych miłośników fizyki to nic trudnego.

– Do wzięcia udziału w konkursie zachęciły mnie zaproponowane tematy esejów. Kiedy zaczęłam się wgłębiać w problemy, zainteresowałam się tak bardzo, że zaczęłam pisać eseje i opowiadania. A reszta poszła już gładko. (...) Poprzez ten konkurs usystematyzowałam swoją wiedzę. Mogłam również wypowiedzieć się na tematy, które mnie szczególnie interesują – tłumaczy Karolina Włach, której eseje obejmowały niezwykle szeroką tematykę: od antymaterii w kosmosie, przez zagadnienia tomografii i mamnografii komputerowej aż po skutki oddziaływania siły Coriolisa.

Lekcja dla nauczycieli

Co roku w konkursie bierze udział około 300 uczniów z gimnazjów i szkół średnich z całego kraju. Uczestnicy dzieleni są na dwie kategorie wiekowe. Do finału, który odbywa się w Warszawie, przechodzi około 50 osób, które zgromadziły największą liczbę punktów. Przyjeżdżają na UW z nauczycielami i opiekunami. Prezentują swe prace przed komisją, która później zadaje im dodatkowe pytania. Przypomina to trochę obronę pracy dyplomowej. W każdej kategorii wiekowej wybiera się trzech laureatów.

W komisji, która ocenia nadesłane prace a następnie przepytuje finalistów zasiada kilkunastu doktorantów z Wydziału Fizyki UW. Dla nich, jako przyszłych nauczycieli i popularyzatorów nauki, jest to możliwość zdobycia cennego doświadczenia w pracy z młodymi ludźmi. Uczą się rozmawiać z młodzieżą, patrzeć na świat i myśleć takimi kategoriami jak dzieci. – Uważam, że praca z młodymi ludźmi, którzy chcą poznać fizykę i są tak pełni zapału, nie ma sobie równych. Z tego powodu zajęłam się dydaktyką fizyki i dlatego biorę udział w pracach przy konkursie. Daje mi to bardzo dużo satysfakcji. Kontakt z tą młodzieżą upewnia mnie, że podjęłam słuszną decyzję – podkreśla Agnieszka Drzazgowska, doktorantka z ZDF UW oraz jurorka konkursu.

Fizyka z nutką poezji

Konkurs był początkowo pomyślany jako rodzaj przeciwwagi dla olimpiady fizycznej. Nie rozwiązuje się w nim zadań rachunkowych. Biorą w nim udział osoby, które fizyka bawi i cieszy; tylko część z nich wiąże z nią swoją przyszłość. Uczestnicy konkursu muszą się wykazać także talentami humanistycznymi i artystycznymi. Nie wystarczy znać definicję zjawiska ruchów Browna (chaotycznych ruchów cząstek zawiesiny w płynie). Trzeba jeszcze umieć napisać o tym limeryk, który także rządzi się swoimi, ściśle określonymi, zasadami. Niemożliwe do wykonania? A jednak, jak udowodnia tegoroczna zdobywczyni tytułu mistrza limeryków, gimnazjalistka ze Szczecina – Patrycja Kur:

„Robert Brown, botanik w Londynie
raz widział chaos tłuszczy w płynie
cząstki tak się ruszają
krzywe orbity mają
powiedział siedząc w kinie.”

Młodzi ludzie biorący udział w konkursie są niezwykle aktywni i otwarci na świat. Swoją pasją chcą i potrafią zainteresować innych. Każdą grę edukacyjną zaprojektowaną dla dzieci muszą zaprezentować w wybranej

przez siebie szkole: – W tym roku oceniałam prace gimnazjalistów w kategorii „Nauczanie fizyki” – wspomina Agnieszka Drzazgowska – Duże wrażenie zrobiła na mnie praca uczennicy trzeciej klasy gimnazjum. Gra polegała na połączeniu hasła fizycznego z odpowiadającym mu wzorem, albo treści definicji lub prawa z odpowiednią nazwą. Wszystkie hasła były umieszczone na kilkunastu planszach, a łączyły je należało za pomocą przewodów elektrycznych. Jeżeli połączenie było dobre, zapalała się lampka, jeśli nie – lampka nie świeciła. Bardzo mi się spodobał pomysł połączenia nauki z zabawą. Poza tym należy docenić czas poświęcony na wykonanie takiej planszy.

Pogawędka z noblistą

Duże wrażenie, zdaniem dr Kaczorowskiej, robią prace z kategorii „wywiad z fizykiem”, który uczniowie mogą przeprowadzić osobiście, telefonicznie lub mailowo. Wielu uczestników na rozmówcę wybiera swoich nauczycieli, odważniejsi kontaktują się z profesorami uniwersytetów. Najambitniejsi potrafią dotrzeć do prawdziwych gwiazd współczesnej fizyki – prof. Michała Hellera, prof. Andrzeja Wolszczana, a nawet noblistów Franka Wilczka, Jacka Steinbergera czy Williama Philipsa. Z tegorocznego wywiadu Agaty Rek z Philipsem możemy dowiedzieć się, że laureat Nobla z 1997 r. uhonorowany za rozwój metod chłodzenia i pułapkowania atomów laserem, swój wolny czas poświęca śpiewaniu w chórze gospel.

Naukowe wakacje

Nagrodą dla szóstki laureatów jest wycieczka. W 2005 r. zwycięzcy wzięli udział w Międzynarodowym Sympozjum Młodych Ambasadorów Fizyki na Tajwanie. Rok później odwiedzili Laboratorium Ciężkich Jonów w Darmstadt, a w 2007 r. byli w Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych w Grenoble. Tegoroczni laureaci tydzień spędzili w miejscu, które jest obecnie na ustach całego naukowego świata – w CERN-ie pod Genewą.

Zwiedzając laboratoria, laureaci mogą przyrzyć się pracy młodych naukowców, często doktorantów z UW. – Najciekawsze w takim wyjeździe wcale nie jest pokazywanie młodym ludziom detektora, który ma rozmiary dużego budynku, lecz obserwowanie eksperymentów. Uczestnicy wycieczki spotykają się z młodymi naukowcami i widzą na czym polega ich praca, to jest bardzo cenne – podkreśla dr Kaczorowska.

Ciekawa forma konkursu, niezwykła atmosfera warszawskich finałów oraz możliwość odwiedzenia największych europejskich laboratoriów skłania wielu z uczestników do ponownych startów. Mniej więcej 1/3 tegorocznych uczestników brała udział w konkursie po raz drugi. Karolina Włach też już się nad tym zastanawia: – Bardzo bym chciała wziąć udział w kolejnej edycji konkursu, ale mam jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji.

Wielki Tydzień na ziemi czarnej gliny

Południowo-meksykańska Wielkanoc

JOANNA ZAMORSKA, JOANNA DUBRAWSKA-STĘPNIEWSKA

W sierpniu br. w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW oraz w Galerii Muzeum UW w Pałacu Kazimierzowskim zaprezentowano wystawę „Wielki Tydzień San Bartolo Coyotepec”. Ekspozowane zdjęcia, zostały wykonane podczas wyprawy do południowego Meksyku, gdzie autorki artykułu prowadziły etnograficzne i etnomuzykologiczne badania terenowe. Zebrany w marcu-kwietniu 2007 r. materiał posłużył im do przygotowania prac magisterskich. W czerwcu 2008 r. Joanna Dubrawska-Stępniewska obroniła w Instytucie Muzykologii UW pracę dyplomową „Muzyka w obchodach Wielkiego Tygodnia w San Bartolo Coyotepec (Oaxaca, Meksyk)”, wykonaną pod kierunkiem dr hab. Anny Gruszczyńskiej-Ziółkowskiej. Joanna Zamorska jest w trakcie przygotowywania w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW pracy poświęconej zagadnieniu ptci kulturowej mieszkańców San Bartolo Coyotepec w Świątowaniu Wielkiego Tygodnia.



Procesja Bractwa Świętego Grobu Chrystusa, fot. J. Dubrawska-Stępniewska

Wielkanoc, najważniejsze święto chrześcijańskiego kalendarza jest obchodzone w katolickim Meksyku bardzo uroczysto, w każdym regionie inaczej. Miałymy szczęście brać udział w świątowaniu Wielkiego Tygodnia w południowym Meksyku, w niewielkiej miejscowości San Bartolo Coyotepec, tuż koło miasta Oaxaca. Od charakterystycznej czarnej ceramiki, czyli *barro negro*, znanej w całym Meksyku, miejscowość ta nazywana jest „ziemią czarnej gliny”. Mieszka tam głównie ludność autochtoniczna czyli Zapotekowie.

Podczas świąt wielkanocnych w San Bartolo odbywają się różne uroczystości, ceremonie religijne i procesje. Świątowanie jest jednym ze sposobów budowania ładu we wspólnocie¹, określania jej granic, hierarchii i obowiązków członków tej społeczności. Kluczowa rola w obchodach Wielkiego Tygodnia przypada dwóm religijnym bractwom *Bractwu Świętego Grobu Chrystusa* i *Bractwu Dziewicy od Samotności*.

Istotnym elementem świąt wielkanocnych są procesje z figurami świętych, w których świętujący odgrywają historię męki Chrystusa. Wokół figur niesione są świeże kwiaty i kadzidła, grają orkiestry dęte (*bandy*), bęben *tambor*, matraki i terkotki. Wierni z zapalonymi świecami modlą się i śpiewają pieśni religijne.²

Procesja i muzyka

Od soboty poprzedzającej Niedzielę Palmową, aż do Niedzieli Zmartwychwstania wierni z figurami maszerują wokół całego miasta, poszerzając w ten sposób przestrzeń sakralną. W procesjach tych członkowie bractw religijnych i ochotnicy przebrani są za postaci obecne w Chrystusowej Pasji. Procesje te mają charakter widowiska teatralnego, a pochod przypomina czas ostatnich dni życia Chrystusa. Taka forma obchodów Wielkiego Tygodnia w Meksyku jest dość popularna, w niektórych częściach kraju odgrywa się nawet misteria Męki Pańskiej, gdzie aktor grający Chrystusa zostaje naprawdę przybity do krzyża. To, że święto staje się w pewnym sensie spektaklem, ma swoje uzasadnienie. „Obrzęd stanowi odtwarzanie mitu (...) realizowany w formie widowiska. Aktorzy wcielają się w postaci bogów, istot mitycznych i mają możliwość wpływania na bieg wydarzeń. W odczuciach społeczności (...) obrzęd nie jest już tylko widowiskiem, lecz autentycznym dokonywaniem się mitu w konkretnym miejscu i czasie. (...) Wszystkie składające się na akcję obrzędową zachowania, słowa, gesty mają znaczenia symboliczne.”³

Poszerzanie przestrzeni sakralnej w ciągu Wielkiego Tygodnia odbywa się zawsze dzięki procesyjnym działaniom wiernych. Niosą oni ze sobą figury świętych, które potęgują ten proces. Muzyka, zawsze obecna w procesji również wzmacnia akt uświęcania rytualnych miejsc i jest ważnym aspektem wszystkich ceremonii religijnych Wielkiego Tygodnia. Najistotniejsza rola w obchodach wielkanocnych przypada orkiestrom dętym *bandom* i bębnowi *tamborowi*. Spośród wszystkich procesji wielkotygodniowych, zarówno nocnych jak i dziennych, najdłuższe odbywają się w Wielki Czwartek i Piątek. Pochodom tym towarzyszy najwięcej wiernych i właśnie w te dni orkiestra jest najbardziej zauważalna. Jej muzyczna aktywność wpisuje się w barwny scenariusz ceremonii. Banda pojawia się tuż obok śpiewaków oraz osób odgrywających role *Apostolów*, *Centurionów* i *Biczowników*. Jej zadaniem, jak podkreślają mieszkańcy, jest gra dla świętych, zwłaszcza dla Jezusa.



Procesja Bractwa Dziewicy od Samotności,
fot. J. Zamorska

Z kolei tambor to instrument, który towarzyszy obchodom Wielkiego Tygodnia przez cały czas. Jest on przewodnikiem każdej procesji i nieustannie wygrywa jednakowy, monotonny rytm. Zawsze idzie na przód, a za nim podążają *bandy* i wierni z figurami. Słychać go praktycznie przez cały tydzień. Nawet w Wielki Poniedziałek, który zwany jest przez mieszkańców dniem ciszy – tambor gra. Każde bractwo ma swój tambor, który prowadzi jego procesję, a grają na nim z reguły młodzi mężczyźni (chłopcy). Według mieszkańców, wybijanie rytmów na tym bębnie symbolizuje Chrystusa, jego śmierć oraz zmartwychwstanie.

Organizacja święta i rola bractw religijnych w obchodach wielkanocnych

W tradycji meksykańskiej istnieje szczególny rodzaj związku między świętymi patronami, a osobami, które odpowiadają za ich figurę⁴. Ta relacja wyraża się w instytucji *Mayordomía*⁵, a także w działaniu bractw religijnych. Ochotnicy, którzy decydują się na wzięcie czasowej odpowiedzialności za figurę świętego nazywani są *Mayordomos*, płacą oni za msze i organizują fiesty na cześć patrona, robią to w podziękowaniu za wysłuchanie ich modlitw, ale też w ten sposób mogą prosić świętych o błogosławieństwo. Poza wymiarem religijnym tej instytucji, ma ona duże znaczenie w życiu grupy. Ktoś, kto przyjmuje *Mayordomía* zyskuje prestiż, bo robi coś ważnego dla wszystkich mieszkańców wspólnoty. Teore-

tycznie ten obowiązek może przyjąć każdy, ale jest to spory wydatek dla gospodarstwa domowego, czasem prawdziwy potłacz, a przede wszystkim ogrom pracy. *Mayordomía* są ułożone hierarchicznie pod względem stopnia ważności patronów, dają różny prestiż. Nie każdy w społeczności jest *Mayordomo*, ale każdy w jakiś sposób uczestniczy w systemie organizacji fiest, ponieważ *Mayordomo* nie organizuje fiesty samodzielnie, ale na zasadzie wzajemnej dobrowolnej wymiany dóbr i pracy⁶ między członkami wspólnoty. Jak inne systemy wymiany darów⁷, tak i ten ustanawia wspólnotę i jej granice. Każdy musi brać w nim udział, żeby być członkiem społeczności, dawanie i otrzymywanie pomocy, chociaż pozornie dobrowolne, jest obowiązkowe.

Rola bractw religijnych polega głównie na przygotowaniu rytuału i przewodzeniu w nim. Znają one scenariusz obrzędu i przechowują wiedzę o sposobie jego odprawiania. To głowy bractw mówią *Mayordomos* co powinni przygotować na uroczyste momenty fiesty. Wybrani członkowie bractw niosą w procesji figurę swojego patrona. Muszą oni spełniać określone kry-

teria i być duchowo przygotowani do tego obowiązku, przeżywać drogę, którą idzie postać reprezentowana przez posąg, w sensie dosłownym i na planie symbolicznym. To samo dotyczy się innych osób niosących figury, wyznaczonych przez obyczaj i przez bractwa. Mogą oni swoim wysiłkiem dziękować patronom za łaski, lub prosić o nie świętych.

Władze *Bractwa Świętego Grobu Chrystusa*⁸, które prowadzi procesję, na czele niosą figurę Jezusa. Wszyscy członkowie tego bractwa są żonaci, podobno dlatego, że Jezus wybierał sobie na uczniów silnych, dojrzałych, prawdziwych mężczyzn⁹. Z kolei idącą za Jezusem figurę Świętego Piotra niosą *Regidorzy*, przedstawiciele władz gminnych, a za samą figurę odpowiada *Presidente* wioski. Figura głowy kościoła skojarzona jest z władzą świecką, co może wiązać się z niegdyśszym prawem patronatu w Meksyku, czyli zwierzchnictwem władz świeckich nad kościelnymi. Wskazuje też na boskie posłannictwo każdego, kto dzierży władzę, a co się z tym wiąże, na jego obowiązek służenia wspólnocie¹⁰.

Drugie bractwo, *Dziewicy od Samotności*¹¹ prowadzi orszak najpierw z figurą Bolesnej¹² na czele, a po zdjęciu Chrystusa z krzyża, odpowiednio z Dziewicą od Samotności¹³. Figurę dziewczyny Marii mogą nieść wyłącznie kawalerowie, zaś niesioną za nią figurę Marii Magdaleny – tylko niezamężne, bezdziejne kobiety, podobno dlatego, że osoby niosące figury dziewczyn powinny być czyste i niewinne¹⁴. Warto zauważyć, że bractwa *Grobu Chrystusa* i *Dziewicy od Samotności* uzupełniają

się¹⁵, bo do pierwszego z nich należą wyłącznie małżonkowie, a do drugiego najchętniej przyjmuje się kawalerów¹⁶ (jeśli wezmą ślub mogą zostać w bractwie *Dziewicy od Samotności* lub przejść do drugiego bractwa).

W procesjach wielkotygodniowych w San Bartolo centralną relacją jest związek między matką a synem. Tę relację reprezentują dwie procesje, dwa bractwa religijne i dwie *Mayordomía*. Syn odchodzi i zostawia matkę samą na świecie, a ona cierpi. W ten sposób dramat wielkotygodniowy projektuje porządek mikroświata, jakim jest San Bartolo. Ustala relacje między członkami wspólnoty i odzwierciedla przyjęte w niej wzorce tożsamości, gdzie najsilniejsze więzy łączą rodziców z dziećmi, a matki zawsze są gotowe wspierać swoje dzieci.

Korzenie przedhiszpańskie

Sposób świętowania Wielkiego Tygodnia w San Bartolo jest wyrazem synkretyzmu religijnego¹⁷, efektem nałożenia na siebie dwóch obcych sobie kultur, hiszpańskiej i meksykańskiej. Kościół brutalnie wprowadził chrześcijaństwo, zniszczył miejscowe świątynie i zbudował na ich gruzach kościoły chrześcijańskie. Niektóre dawne bóstwa zostały zastąpione nowymi. Na przykład cechy bogini Księżycy i Matki Ziemi Tonantzin przypisano Matce Boskiej z Guadalupe, a Boga Słońca i Wojny *Huitzilopochtli* utożsamiano z Chrystusem¹⁸. Europejczycy wykorzystali także wiele elementów z religii ludności autochtonicznej w celu ewangelizacji. W czasach przedhiszpańskich wierzono bowiem w zmartwychwstanie bóstw¹⁹, był też kult krwi i ofiary z ludzi dla bogów.

Procesja jest mocno zakorzeniona w kulturze meksykańskiej, o pochodach religijnych z figurami bóstw piszą źródła przedhiszpańskie, a także kroniki pierwszych misjonarzy, którzy barwnie opisują różne azteckie procesje, z figurami bóstw, muzyką i tańcem: „Zwykli też robić procesje podczas wielu swoich świąt. Nieśli na noszach wizerunki idoli, czasem naokoło cúes (typ świątyni), a innym razem w miejsca bardziej odległe. I na te procesje przychodziła cała ludność.”²⁰

W XVI-wiecznych źródłach znajdują się już pierwsze barwne opisy wielkanocnych procesji organizowanych w Nowej Hiszpanii. Zakonnicy niejednokrotnie nie mogą wyjść z podziwu nad uroczaimi ceremoniami ku czci Chrystusa, którym nawet nie dorównywały te ze Starego Świata. W przekazach franciszkanów Toribio de Benavente Motoliní i Gerónima de Mendietty czytamy o bardzo uroczystych i radosnych procesjach Wielkiego Tygodnia z udziałem Indian. Zakonnicy podkreślają, że w procesjach szły tłumy ludności autochtonicznej, a wśród nich ogromna liczba biczowników, którzy uderzali się aż do krwi. Autorzy zachwycają się tymi ceremoniami, opisują złote figury świętych niesione w procesjach, ulice bogato

przystrojone palmami, różnymi kwiatami oraz muzykę towarzyszącą chrześcijańskim rytuałom. „Wielkanoc i święta Naszego Pana, Matki Boskiej i głównych patronów wioski obchodzą Indianie z wielką radością i powagą, przystrajając w pierwszej kolejności kościoły w sposób bardzo urokliwy ozdobami, które sami robią, a dywany, których nie mają zastępują kobiercami z palm, róż i innych kwiatów (...). Trasy, którymi podążają procesje są bardzo długie i ozdobione po obu stronach zielonymi gałązkami drzew. Drogę czynią trzy ścieżki. Środkowa jest najszerza, ponieważ tamtędy niesione są krzyże, figury świętych w lektykach, tędy też idą duchowni i pozostali członkowie procesji. Ścieżkami bocznymi idą – po jednej stronie mężczyźni, a po drugiej – kobiety. Te ścieżki oddzielone są od siebie wetkniętymi w ziemię gałęziami, oraz kolorowymi roślinnymi arkadami zrobionymi z palm i różnych gatunków kwiatów.”²¹

Rokroczne odgrywanie tej samej historii pozwala zachować wrażenie ciągłości tradycji. Społeczność definiuje się co roku od nowa, podkreśla to, co dla niej ważne wcielając się w postaci dramatu wiekotypodniowego. Dlatego niektóre elementy zanikają – tak było podobno z postacią Judasza, żołnierza rzymskiego na koniu i z grą na szalaimai. Niektóre zwyczaje z kolei są odtwarzane – jak granie na muszlach, które symbolizuje²² obecność ludu i jego jedność, dla dobra wszystkich.

¹ R. Caillois, *Żywioł i igrad*, Warszawa 1973, s. 121-160.

² Instytucja w systemie organizacji festiwalu, zwanym systemem cargos (obowiązków religijnych)

³ Joanna i Ryszard Tomicki, *Drzewo życia. Ludowa wizja świata i człowieka*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1975.

⁴ E. Z. Vogt, *Tortillas for the gods. A symbolic analysis of Zinacateca rituals*, Cambridge 1978.

⁵ H. F. Mathews, *We Are Mayordomo: A Reinterpretation of Women's Roles in the Mexican Cargo System*, *American Ethnologist*, Vol. 12, Nr 2, (may 1985), s. 285-301.

⁶ tequio i güelaguetza

⁷ M. Mauss, *Szkic o darze, Forma i podstawa wymiany w społecznościach archaicznych*, w: *Socjologia i antropologia*. Tłum. K. Pomian, J. Szacki, M. Król, Warszawa 2001.

⁸ *Hermanad del Santo Entierro de Christo*

⁹ *Według słów prezydenta Bractwa Grobu*

¹⁰ Jak twierdzili nasi rozmówcy

¹¹ *Hermanad de la Virgen de la Soledad*

¹² *Matki Bożej Bolesnej – Virgen Dolorosa*

¹³ *irgen de la Soledad*

¹⁴ Figury świętych kobiet zwyczajowo tam nazywa się dziewczynkami, dotyczy to także Marii Magdaleny.

¹⁵ Lub stanowią opozycję

¹⁶ Oba bractwa składają się z mężczyzn

¹⁷ podobnie jak w całym Meksyku,

¹⁸ Maria Frankowska, *Mitologia Azteków*, Wydawnictwo

Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1987, s. 316.

¹⁹ Na przykład uważano, że Huitzilopochtli umierał i rodził się każdego dnia na nowo

²⁰ Bernardino de Sahagún, *Rzecz z dziejów*

Nowej Hiszpanii. Księgi I, II, III, przekład Kamila Baraniecka i Marta Leszczyńska, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2007, s. 217.

²¹ Fray Gerónimo de Mendieta, *Historia Eclesiástica Indiana – obra escrita a fines del siglo XVI*, Biblioteca – Porrúa, México 1993, s. 429-439.

²² według słów mieszkańców

Sztuka podróžowania

ADELINA M. KLOCH

„Prawdziwi podróżnicy to ci tylko, którzy wyruszają, aby wyruszyć.” Ch. Baudelaire

W społeczeństwie ponowoczesnym co dzień setki ludzi wyruszają w podróż: w interesach, dla przyjemności, dla sportu. Właściwie nie ma to już znaczenia, bo rzecz w tym, aby kolekcjonować zdjęcia, pamiątki, wspomnienia, zaliczać kolejne zabytki, odhaczać kolejne kraje. Kwestia przyjemności lub mody: jedni wybierają Rodos, bo ciepło, przyjemnie i bez ryzyka, inni Indie, bo egzotycznie i barwnie, choć z białoskórym przewodnikiem i ubezpieczeniem wykupionym na wysoką sumę. W podróżowaniu, a raczej turystyce, chodzi przede wszystkim o zbieranie doświadczeń, którym jednak brakuje zrozumienia¹. Konsumenci ofert rozlicznych biur turystycznych podróżują po to, aby nasycić się nowymi wrażeniami, obrazami, dotknąć tego, co inne, a przez to kuszące². Gdzieś w tym bezmiarze ogłoszeń *last minute*, egzotycznych podróży do Kenii, wyjazdów odchudzających i wycieczek *30 miast w 7 dni* gubi się istota podróżowania. Cisza spokojnych miejskich zaułków, smak tanich obiadów, szczerść rozmów pociagowych, pustka szutrowych dróg, uśmiech babinki okutanej chustą, południowa drzemka na ławce. Powolność, senna, rozleniwienie. Kąpiący, niczym woda z niedokręconego kranu, czas. Przeżywanie, smakowanie, poznawanie. Sztuka podróżowania.

Sztuka

Sztuka jest umiejętnością, która wymaga talentu, zdolności bądź specyficznych kwalifikacji. Talent wydaje się być najistotniejszą częścią sztuki, a jednocześnie tym, czego nie można się nauczyć – artysta bez talentu po prostu nie jest artystą. Czy wobec tego turysta-klient może się przeobrazić w podróżnika-artystę? Może każdy jest w stanie odnaleźć w sobie talent podróżnika? W czym on się objawia? A zdolności, kwalifikacje? Czego właściwie potrzeba by być artystą-podróžnikiem?

Trudno znaleźć jednoznaczny i klarowny odpowiedź. Na pytanie o umiejętności, konieczne w sztuce podróżowania, każdy podróżnik odpowiedziałby inaczej. Czy jest to spontaniczność, zdolność posługiwania się mapą, otwartość na inne kultury? Może by

być podróżnikiem wystarczy sama chęć wyruszenia, tylko po to, aby znaleźć się w drodze – jak powiedział Baudelaire. Pisarz-podróžnik Andrzej Stasiuk w jednym z wywiadów przyznał: *Potrafie wsiąść do auta i jechać dwanaście godzin jak w hipnozie oglądając to, co za oknem*³. Ten wewnętrzny przymus opuszczenia domu jest prawdopodobnie kwintesencją sztuki podróżowania. Nie po to, aby coś zobaczyć, poznać, zwiedzić czy sprostać modzie, lecz dla samego wyruszenia.

„Wewnętrzny przymus opuszczenia domu jest prawdopodobnie kwintesencją sztuki podróżowania,”

Czym jest podróż, czym jest turystyka?

Mówiąc o podróżowaniu trzeba powiedzieć o turystyce. Istnieje zarówno socjologia turystyki, jak i socjologia podróży. Pojęcia te jednak bywają mylone, a granica między nimi często się zaciera. Zbigniew Bauman pisze, że *turyista opuszcza dom w poszukiwaniu wrażeń. Co turyista czyni, czyni z własnej woli. [...] Turyista jest artystą, turyistka jest twórczością*⁴. Bez trudu i zastrzeżeń może się zgodzić z pierwszą częścią wypowiedzi. Wszak turyista nastawiony jest w szczególności na zdobywanie doświadczeń – wyjazd daje możliwość całkowitego oderwania się od codzienności i wyruszenia w poszukiwaniu nowych atrakcji i wrażeń. Czy jednak turyista jest artystą? Wybierając się w zorganizowany wyjazd do Afryki nie może być twórcą – jest jedynie konsumentem, odbiorcą oferty skierowanej właśnie do niego. Nie ma tu mowy o byciu artystą.

Czy istnieje sztuka turystyki? Samo połączenie tych dwóch wyrazów jest sztuczne.

Turystyka to konsumpcja. Konsumpcja ofert, propozycji, usług hotelowych, regionalnych przysmaków, pamiątek, widoków. Turystyka istnieje wewnątrz biznesu turystycznego. Aczkolwiek bywa, że niejeden podróżnik (lub turysta), świadomie lub nie, balansuje na granicy pomiędzy podróżowaniem i uprawianiem turystyki. Podobnie kłopotliwe jest też samo sztywne rozróżnienie: turysta – podróżnik. Pasjonat wakacji organizujący wycieczkę objazdową po Włoszech (uwzględniając wszystkie najbardziej znane zabytki) czułby się urażony słysząc, że nie jest podróżnikiem, lecz tylko turystą.

Spróbuję wyróżnić pewne cechy charakterystyczne turystyki, różniące ją od podróżowania. Pierwszą cechą jest nastawienie na osiągnięcie konkretnego celu, nie chodzi tu o samo bycie w danej przestrzeni. Wiąże się to z przeniesieniem akcentu na oglądanie, czy poznawanie, a nie przebywanie czy istnienie w danej rzeczywistości. W związku z tym turystyka koncentruje się na przedmiocie, który pozwoli jej osiągnąć dany cel. Za sprawą pobytu na plaży, nad ciepłym morzem zrelaksujemy się. Dzięki zwiedzeniu licznych zabytków poznamy kulturę Francji. Natomiast w podróżowaniu istotną rolę pełni przemieszczanie się oraz podmiot naszego poznania, który jest wartościowy sam w sobie – niezależnie czy są to mieszkańcy małego miasteczka na południu Węgier czy widok ośnieżonych gór. Głównym celem podróży jest ona sama.

Drugą cechą jest przewidywalność. W turystyce w zasadzie nie ma mowy o zaskoczeniu; wszystko powinno się dziać zgodnie z ustalonym planem. Pokój w hotelu jest zarezerwowany, bilet na samolot wykupiony, wycieczki każdego dnia wytyczone. Jakikolwiek odejście od planu burzą harmonię wyjazdu. Przeciwny turysta odnajduje się w nich z wielkim trudem. Nie czerpie z nich przyjemności, budzą w nim złość i niechęć. Turysta ma prawo do roszczeń kierowanych wobec biura podróży, kolei państwowych czy samego siebie. Podróżnik nie wie dokładnie, czego może się spodziewać. Ustalony plan może ulec zmianom i ma on tego świadomość. Zdarza się, że wyjazd się przedłuży, schronisko przestało istnieć, a pociąg nie przyjeżdża. Podróżnik jest zachwycony, czerpie z takich przygód swoistą radość, która pozwala mu czuć, że naprawdę podróżuje. Gdy zmęczenie przytłacza radość, przyjmuje „przygody” ze spokojem, wiedząc, że nie może mieć pretensji do nikogo i niczego.

Nie można jednak uważać turysty za podróżnika gorszego rodzaju. Nie jest tak, że turysta jest jedynie wyrachowanym, zarozumiałym klientem biznesu turystycznego. Wielokrotnie przecież kieruje nim prawdziwa chęć poznania, a nawet zrozumienia odmiennej kultury. Turyści szukają *prawdziwej rzeczywistości odwiedzanych regionów, krajów czy kontynentów, ale przemysł turystyczny udostępnia im tylko przedstawienia, inscenizację rzeczywistości specjalnie spreparowane na ich użytek*⁵. Powraca

więc problematyczność ostrego różnicowania wyjeżdżających na turystów i podróżników.

Włóczęga przybył do domu

Zbigniew Bauman twierdzi, że *nie ma turystów bez włóczęgów*⁶. Turysta (a także podróżnik) jest pojęciem przeciwnym wobec włóczęgi. Włóczęga nie może być ani podróżnikiem, ani turystą, ponieważ podróż w samej swojej definicji zawiera pojęcie domu, *jest mniej lub bardziej dobrowolną praktyką jego opuszczania, aby udać się do jakiegoś „odmiennego” miejsca*⁷. Nie można udać się w podróż, jeśli nie ma się domu.

„Podróż jest (...) zdolnością przeżywania własnej egzystencji oddzielonej od trwania w jednej określonej czasoprzestrzeni”

Wielu podróżników uważa i traktuje swoją podróż jako włóczęgę. W rzeczywistości jest ona włóczęgą w sposób pozorny. Podstawowym powodem jest właśnie dom – podróżnik w końcu zawsze do niego wraca. Innym powodem jej pozorności jest cel. Włóczęgostwo wiąże się z brakiem celu, ponieważ jest spowodowane brakiem miejsca zamieszkania; jest sposobem życia. Podróż albo jest ukierunkowana (wyjazd na południowy-wschód) albo jej celem jest chociażby samo bycie w drodze – o czym była już mowa wcześniej.

Kiedy zaczyna się podróż?

Niewątpliwie czas podróży jest czasem odmiennym niż czas codziennej rzeczywistości.

Po pierwsze jest to czas ujęty w ramy naszego wyjazdu i powrotu. W tym sensie jest określony i skończony. Wycięty z codzienności. Perspektywa ta dotyczy czasu fizycznego. Natomiast patrząc na zagadnienie początku podróży z perspektywy czasu subiektywnie przeżywanego dochodzimy do sprzeczności z czasem fizycznym. Podróż nie zaczyna się w momencie wyruszenia w drogę i nie kończy, kiedy docieramy do mety. W rzeczywistości – według Ryszarda Kapuścińskiego – zaczyna się dużo wcześniej i praktycznie nie kończy się nigdy. Dla Andrzeja Stasiuka podróż czasem zaczyna się *wtedy, gdy z powrotem jesteś w domu i wracasz myślą do tego, co było. Albo wtedy, gdy zanim wyjedziesz, wodziś palcem po mapie, zastanawiasz się, co cię spotka*⁸. Jednocześnie jest to

*stan zawieszenia, oderwania, odpoczynek – niezależnie od tego jaki charakter przybiera. Wówczas przestają obowiązywać prawa codzienności*⁸.

Po drugie w podróży upływ czasu następuje w innym tempie – wolniej, spokojniej. Nie ciąży na nas ani obowiązki, ani terminy, a jedyne, co ewentualnie musimy wziąć pod uwagę, to godzina odjazdu pociągu czy autobusu. Ten stan zawieszenia pozwala nam odpocząć i oderwać się od codzienności.

Sztuka podróżowania wiąże się z umiejętnością odnajdywania się w tym specyficznym rodzaju czasu – zarówno jeśli chodzi o zdolność planowania wyjazdu oraz powrotu do niego we wspomnieniach, jak i podczas samej podróży – gdy nagle musimy absolutnie oderwać się od tego, co pozostawiliśmy setki kilometrów stąd i zacząć delektować się egzystowaniem w tej szczególnej czasoprzestrzeni.

Podróż to talent

Widać teraz wyraźnie, że sztuka podróżowania to przede wszystkim umiejętność wyruszenia w drogę po to tylko, aby znaleźć się w podróży. Jest to również zdolność odcięcia się od związanej z turystyką mody i kolekcjonerstwa doświadczeń. To także dar funkcjonowania według specyficznego rodzaju czasu, jakim jest czas podróży.

Należy jednak pamiętać, że sztuki podróżowania nie można w łatwy sposób zanalizować, a potem wyłożyć jak przedmiot akademicki. Nie sposób napisać dziesięciu zasad „Jak uprawiać sztukę podróżowania”. O sztuce podróżowania trudno pisać. Można tylko snuć długie opowieści, *o tym jak tam byłam, jak pamiętam albo co już zapomniałam*.

Podróż to talent, to powtarzanie mantry, czy też modlitwy, każdego podróżnika: Co ja tu właściwie robię?⁹ Podróż to doświadczanie dziwności swojego bytu. *Podróż jest sztuką [...] i stanem ducha – zdolnością przeżywania własnej egzystencji oddzielonej od trwania w jednej określonej czasoprzestrzeni*¹⁰.

Autorka jest studentką III roku stosowanych nauk społecznych na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ K. Podemski, Socjologia podróży, Poznań 2005, s. 63.

² R. Ostaszewski, Specjalność: rozpad, Tygodnik Powszechny, 18.07.2004.

³ Opowieść o złotych drogach. Rozmowa Bartka Dobrocha z Andrzejem Stasiukiem. „Książki w Tygodniku”. www.tygodnik.onet.pl

⁴ K. Podemski, op.cit., s. 99.

⁵ Tamże, s. 64.

⁶ Tamże, s. 100.

⁷ Tamże, s. 7.

⁸ Andrzej Stasiuk w rozmowie z Aleksandrą Palus, 2 lutego 2007, źródło: www.g-punkt.pl

⁹ Tamże, s. 75.

¹⁰ Za: K. Podemski, Socjologia podróży, Poznań 2005, s. 103.

Tajemnice Bąkowej Góry

PIOTR SYPCZUK, PIOTR LASEK



Ruiny rezydencji w Bąkowej Górze, fot. P. Lasek

Siedziba Bąków w Bąkowej Górze od dawna budziła zainteresowanie badaczy, jednakże przed przeprowadzeniem badań terenowych stan wiedzy o tym zabytku był niewielki. Wykopaliska oraz analiza architektoniczna przyniosły odkrycie relikwów wcześniejszej budowli drewnianej oraz potwierdzenie późnośredniowiecznej metryki dworu.

Zabytek usytuowany jest na cyplu wysoczyzny nadpilickiej, na wschodnim zboczu Bąkowej Góry, ok. 300 m na północny-wschód od centrum wsi. Wzniesiony został na rzucie czworoboku zbliżonego do trapezu (13,7 x 14,4 x 30 x 32,1 m), natomiast grubość murów w partii przyziemia wynosi 3,4 - 3,9 m. Na osi wschód-zachód znajdują się dwa ryzality, zachodni z nich mieścił zapewne schody, a wschodni prawdopodobnie wejście do budynku, umiejscowione przypuszczalnie na wysokości pierwszej kondygnacji. W środkowej części ściany północnej oraz w narożnikach: północno-wschodnim, północno-zachodnim i południowo-wschodnim budynek wzmocniono szarpami. W najniższej kondygnacji zachował się podział na trzy izby: północną o wymiarach 41,5 m², środkową 54 m², południową 54 m². Od północy, zachodu i wschodu budowlę otaczały wały kamiennoziemne (częściowo zachowane), najprawdopodobniej poprzedzone suchą fosą.

W świetle badań A. Szymczakowej za fundatora opisanej wyżej budowli można uznać Zbigniewa Bąka starszego (kasztelana rozpierskiego w latach 1411-1434) lub jego syna Zbigniewa Bąka młodszego (kasztelana małego-kasztelana rozpierskiego w latach 1467-1472).

Pomimo prowadzonych prac badawczych nad siedzibą pańską w Bąkowej Górze, wciąż nie rozwiązano wielu ważnych problemów. Wykopaliska nie dały bowiem ża-

nych danych na temat otoczenia samej rezydencji, która w 1489 r. miała się składać m.in. z „domu starego”, „domu większego” i „fortalitium seu turris”. Nie rozpoznano również w pełni obwodu obronnego. Wątpliwości może budzić także próba rekonstrukcji bryły dworu (piętrowy budynek kryty gontem, pozbawiony niemal cech obronnych).

Próbę wyjaśnienia niektórych poruszonych wyżej niejasności podjął L. Kajzer, który wskazuje osobę Zbigniewa Bąka starszego jako fundatora zamku. Jednocześnie jednak Kajzer zaznacza, iż Zbigniew Bąk starszy najprawdopodobniej nie zdążył ukończyć inwestycji. Budowa została sfinalizowana w 2 poł. XV w. przez Zbigniewa Bąka młodszego. Poszukując analogii dla rezydencji Bąków-Zadorów, Kajzer wskazuje na wieże mieszkalno-obronne z terenów Polski, Czech, północnych Niemiec i Skandynawii. Ogromne znaczenie przypisuje dwóm poświadczonym historycznie podróżom dyplomatycznym kasztelana rozpierskiego do duńskiego króla Eryka VII. To właśnie wówczas miałby zostać powzięty przez Zbigniewa Bąka starszego zamiar stworzenia rezydencji, podobnej do obserwowanych przezeń wieżowych siedzib duńskiej elity feudalnej. L. Kajzer zwraca też uwagę, iż monumentalna koncepcja bryły wieży-palacu (wg autora 3-4 kondygnacyjny donżon) mogła być odbiciem ambicji politycznych Zbigniewa Bąka.

Proponowana przez L. Kajzera rekonstrukcja rezydencji Bąków-Zadorów jest prawdopodobną, pewne wątpliwości wzbudza możliwość wyraźnie wertykalnego ukształtowania bryły budowli, której długość przekracza 30 m. Zakładając, że obiekt nie liczył więcej niż 3-4 kondygnacje, otrzymalibyśmy budynek o zdecydowanie bardziej horyzontalnej dyspozycji, niż na rekonstrukcji autorstwa J. Salma. Posiadałby on układ zbliżony raczej do modelu tzw.

kamienicy (forma przejściowa między obronną wieżą mieszkalną a horyzontalnie ukształtowanym dworem). Znaczna grubość murów świadczy zapewne o chęci zapewnienia budowli odpowiedniej stabilności i zwiększenia jej walorów obronnych. Nie jest ona jednoznacznym dowodem na dużą wysokość budowli, tym bardziej, że powstawała ona przez lata.

W świetle powyższych rozważań zagadkowo brzmi przekaz z 1489 r., wspominający „fortalitium seu turris”. Świadczyłoby to o wyraźnie wertykalnej dyspozycji przynajmniej jednego z elementów rezydencji Zadorów. W tym miejscu należy zaproponować jeszcze jeden wariant rekonstrukcji bryły, w odniesieniu do węgierskich doświadczeń syna Zbigniewa Bąka starszego, którego obecność w Budzie jest poświadczona źródłowo. Pobyt na Węgrzech, jak też udział w działaniach wojennych przeciw Turkom, nie tylko okryły Zbigniewa Bąka młodszego sławą, ale zapewne dostarczyły też znacznych profitów majątkowych. Być może wówczas dopiero mógł rozpocząć lub raczej dokończyć budowę rodowej siedziby, opierając się na obserwacjach wyniesionych z podróży na Węgry. W XV w. rozwija się tam, pod wpływem architektury Francji i Włoch, lecz za pośrednictwem niemieckim, nowy typ siedziby pańskiej, będący połączeniem wieży mieszkalnej i zazwyczaj piętrowego palacu. Wieża umieszczana była najczęściej na osi głównej fasady domu, zwykle o trójdzielnym układzie pomieszczeń. Zapewniała ona rezydencji odpowiednie walory reprezentacyjne, jednocześnie zaś podnosiła jej walory obronne. Przykłady tego typu rozwiązań spotkamy choćby w Hédervárze, Simonyi, Deveser. Być może wzmianka z 1489 r. odnosi się właśnie do podobnego obiektu, czyli 2-3 kondygnacyjnego dworu z wysadzonymi na osi elewacji wieżowym ryzalitem mieszczącym przejazd bramny i reprezentacyjną wieżą od strony zachodniej.

Trudno określić bez żadnych wątpliwości, jak naprawdę wyglądała pierwotnie siedziba Bąków i która z ukazanych powyżej możliwości rekonstrukcji jest prawdziwa. Zapewne dalsze badania przyczynią się do lepszego poznania obiektu, a także staną się przyczynkiem do dyskusji nad wymianą rozwiązań architektonicznych na terenie Europy Środkowo-Wschodniej, ich lokalnymi uwarunkowaniami oraz wpływem jaki miał na proces powstawania rezydencji obronnej jej fundator.

Piotr Sypczuk jest absolwentem IA UW oraz studentem IV roku IHS UW. Piotr Lasek jest doktorantem IS PAN. Artykuł powstał na podstawie referatu wygłoszonego podczas konferencji „Interdyscyplinarne badania założeń rezydencjonalnych i obronnych”, zorganizowanej przez ZSS IA UW. Honorowy patronat nad konferencją objęli: dyrektor Ośrodka Badań nad Antykiem Europy Południowo-Wschodniej UW, dyrektor IA UW oraz dyrektor IHS UW.

Poczet rektorów UW

Karski Jefim Fiedorowicz
(1860-1931)

- rektor z wyboru

ROBERT GAWKOWSKI, MUZEUM UW



Jefim Fiedorowicz Karski, Muzeum UW

Dwa lata temu dr Hubert Kowalski, przekazał mi list z Moskwy od prawnuka Jefima Karskiego. Szanowny prawnuk opisywał jak jego przodek, rektor Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1905-1910, z szacunkiem wyrażał się o polskiej kulturze i z dumą podkreślał rolę, jaką przyszło mu pełnić na warszawskiej uczelni. Autor listu oczekiwał, że nasze dzisiejsze środowisko uczelniane docenia rolę Jefima Karskiego i być może mamy jakieś materiały dotyczące życia tego rektora.

Byłem wtedy w kłopotach, bo cóż miałem moskiewskiemu nadawcy opisać? Że w wydanych do tej pory kilku pracach pod tytułem „Poczet rektorów UW” rosyjskich rektorów traktowałem się jak trędownych, pomijając milczeniem. Czy miałem przyznać się do tego, że moja wiedza jako historyka Muzeum UW, o rektorze Jefimie Karskim sprowadzała się jedynie do stwierdzenia, że istotnie taki był. Nie kryję, że list ten mnie zawstydził, bo choć daleki jestem od wychwalania roli Rosjan w latach 1869-1915, to przecież znać ten okres musimy i niezależnie od naszego krytycyzmu, rosyjskich rektorów pomijać nie możemy!

Powód mojego zawstydzenia urodził się w Łaszy pod Grodnem, 20 grudnia 1860 r. w rodzinie zubożałej szlachty ruskiej. Miejscowość ta, przed 1939 r. leżała w granicach II RP i była białoruską enklawą na tym terenie. Przed 1880 r. Jefim Karski posłany został do prawosławnego Mińskiego Seminarium Duchownego, a po jego ukończeniu do Niżyńskiego Instytutu Filologicznego. Tu przyszły rektor, będąc uczniem sławnego R. F. Brandta zainteresował się bliżej filologią słowiańską. W 1886 r. opublikował swą pierwszą, liczącą się w dorobku naukowym pracę: „Głoski i formy białoruskiego narzecza”. W 1893 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie rozpoczął pracę na Uniwersytecie Warszawskim i już po roku uzyskał tytuł profesora. Wykładał język staro-cerkiewno-słowiański. Kilka lat później został dziekanem wydziału filologiczno-historycznego, co dobrze wróżyło jego dalszej karierze. Przypomnijmy, że w czasach Carskiego Uniwersytetu Warszawskiego (1869-1915) rektorem tej uczelni zostawali najczęściej profesorowie tego właśnie wydziału (łącznie aż 7 razy).

W Warszawie Karski opublikował dalsze prace: „Historia dźwięków i form białoruskiego narzecza” oraz „Pytania o zachodnio-rosyjskie odmiany języków”. Te zainteresowania językiem białoruskim (choć zgodnie z duchem epoki Karski nazywał go jedynie narzeczem, odmianą lub gwarą rosyjską) sprawiły, że do dziś bohater mojego artykułu jest na Białorusi postacią znaną i cenioną. W rodzinnej Łaszy jest nawet izba pamięci poświęcona „znanemu białoruskiemu lingwiście”.

W 1905 r., w niespokojnym czasie rewolucji, polityka rosyjska wobec warszawskiej uczelni uległa pewnej modernizacji. Władze zgodziły się na to, by rektorem została osoba z wyboru, a nie z nominacji. Zniesiono też urząd znienawidzonego przez studentów inspektora i zastanawiano się, czy choćby w formie szczątkowej, nie przywrócić języka polskiego. Dla polskich patriotów były to zmiany zbyt małe, dla rosyjskich nacjonalistów zbyt duże. Tymczasem wciąż trwała rewolucja. Przeciwnik polonizacji uczelni Włodimir Amalicki został „przez nieznanych sprawców” pobity, a zajęcia akademickie od kwietnia 1905 zawieszono. W takich trudnych okolicznościach przyszło 19 września Jefimowi Fiedorowiczowi, zostać wybranym rektorem.

Nie ulega wątpliwości, że Karski był wiernym poddanym cara, ale daleki był też od poglądów swego rektorskiego poprzednika Żilowa, uznawanego za nieprzejednanego polonofoba. Karski opowiadał się za wprowadzeniem na wydziale historyczno-filologicznym języka polskiego, ale zarazem proponował, by w ramach represji za antyrosyjskie zamachy, zamknąć polskie szkoły średnie.

Doprawdy, trudno jednoznacznie oceniać jego postawę, tym bardziej, że uczelnia nie działała w sposób normalny. Zamęt rewolucyjny, sprawił, że w listopadzie 1906, reskryptem carskim uczelnię bezterminowo zamknięto „na czas uspokojenia kraju priwisleńskiego”.

Karski pozostał na swym stanowisku do 1910 r. Pod koniec jego urzędowania (w roku akademickim 1908/09) ruszyły zajęcia na I roku. Wkrótce uruchomiono kolejne kursy, ale Uniwersytet Warszawski, nie był już tym samym, co przed rewolucją. Oczywiście nadal wykładano po rosyjsku, tyle tylko, że teraz wśród studentów przeważali Rosjanie.

Karski, po opuszczeniu Warszawy w 1915, został członkiem Petersburskiej Akademii Nauk. Zapewne do rewolucji październikowej miał stosunek niechętny lub co najmniej zachowawczy, ale z jakichś powodów Rosji nie opuścił. W 1925 wstąpił do Akademii Nauk Związku Radzieckiego i w nowej komunistycznej rzeczywistości doczekał emerytury. Zmarł w Moskwie w 1931 r.

15 czerwca 2008 r. - prof. dr hab. Robert Mroziewicz

profesor UW, wykładowca w Centrum Studiów Latinoamerykańskich, historyk i dyplomata, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych i systemów politycznych w Ameryce Łacińskiej, autor wielu ważnych publikacji, oddany pedagog i wychowawca młodzieży akademickiej

17 czerwca 2008 r. - prof. dr hab. Jadwiga Kubińska

emerytowana profesor UW, przez niemal 50 lat związana z Instytutem Archeologii, wybitna znawczyni epigrafiki greckiej – zwłaszcza okresu Cesarstwa Rzymskiego, uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi, wspaniała badaczka i pedagog, wychowawca wielu archeologów

30 czerwca 2008 r. - Helena Lach

emerytowany pracownik Instytutu Filologii Klasycznej, przez wiele lat oddana swojej pracy, ciepła i serdeczna koleżanka

8 lipca 2008 r. - prof. dr hab. Stanisław Głąb

wybitny chemik, prorektor ds. rozwoju i polityki finansowej UW w latach 2005-2008 (wspomnienia o prof. Stanisławie Głębie, str. 1-4)

25 lipca 2008 r. - Jolanta Sosnowska

długoletni pracownik Wydziału Zarządzania, wspaniała koleżanka, ciepła i oddana przyjaciółka

2 sierpnia 2008 r. - doc. dr Witold Kusiński

wieloletni pracownik UW, związany z Wydziałem Geografii i Studiów Regionalnych od chwili jego powstania - w latach 1977 - 1984 prodziekan wydziału, dyrektor Instytutu Geografii Społecznej, Ekonomicznej i Regionalnej, kierownik Zakładu Geografii Ekonomicznej, specjalista z zakresu geografii ekonomicznej i geografii ludności, autor wielu ważnych publikacji, ciepły i życzliwy nauczyciel, wychowawca kilku pokoleń geografów

7 sierpnia 2008 r. - dr Małgorzata Gołembiewska-Skoczylas

biolog, znakomity nauczyciel akademicki, osoba bezgranicznie oddana swej pracy na Wydziale Biologii

16 sierpnia 2008 r. - prof. dr hab. Anna Świderkówna

wybitna znawczyni kultury antycznej, pism Starego i Nowego Testamentu, emerytowany profesor zwyczajny UW, przez długie lata związana z naszą uczelnią - najpierw jako studentka filologii klasycznej, później asystentka prof. Jerzego Manteuffla, w końcu przez niemal 30 lat kierownik Katedry Papirologii w Instytucie Archeologii, autorka niezrównanych dzieł z zakresu kultury antycznej, licznych przekładów z łaciny i greki oraz niepowtarzalnych publikacji dotyczących Pisma Świętego

20 sierpnia 2008 r. - dr hab. Ewa Jolanta Głębicka

humanistka, filolog klasyczny, pracownik Gabinetu Zbiorów XIX w. Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie

23 sierpnia 2008 r. - mgr Eliza Szpakowska

archeolog, pracownik Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze

Wyjaśnienie:

W artykule „Przygoda Grupy Warszawskiej” prof. Jana Królikowskiego, zamieszczonym w numerze 3 (37) Lipiec/Sierpień 2008, pojawiły się dwie nieścisłości. Podpis pod zdjęciem nr 1 powinien brzmieć: „Instalacja największego na świecie krzemowego detektora w eksperymencie CMS”, a nie jak napisaliśmy: „Centralna część detektora CMS zjeżdża do podziemnej hali eksperymentalnej 100 pod ziemią. Srebrny walec to kriostat cewki nadprzewodzącej”. Zdanie o poziomie pierwszym wyzwania powinno brzmieć: „W CMS z 10⁹ przypadków/ sekundę pozostaje 100 000=10⁵, a więc 1 na 10 000.”, a nie: „W CMS z 109 przypadków/ sekundę pozostaje 100 000=10⁵, a więc 1 na 10 000.” Za powstałe nieścisłości przepraszamy prof. Królikowskiego oraz czytelników.

Redakcja



Na okładce: Muza z Domu Aiona,
Nea Pafos, Cypr, fot. W. Jerke

Wydawca: Uniwersytet Warszawski

Redaktor Naczelny:
Katarzyna Zagrajek-Lukaszewska

Adres Redakcji:
Krakowskie Przedmieście 26/28, 00-927 Warszawa,
tel. (+48 22) 55 20 656, 55 20 740, fax (+48 22) 55 24 066
e-mail: biuro.prasowe@uw.edu.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania, dokonywania skrótów
oraz odmowy publikacji nadesłanych materiałów.

Druk: Poligrafia GREG Grzegorz Sitek
Skład i łamanie: Darek Krupicki – Poligrafia GREG Grzegorz Sitek

Redaguje: Biuro Prasowe UW

Przewodnicząca Rady Programowej:
Anna Korzekwa





Tezeusz w labiryncie Minotaura, mozaika z Willi Tezeusza, fot. W. Jerke